

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nie da się zmienić natury kobiety...

Refleksje Coreen

Numer 1. Moim zdaniem nic tak nie zdobi kobiety, jak odpowiedni mężczyzna spoglądający z oddaniem w oczy, a ja jestem zawsze nienagannie ubrana.

Spojrzałam na faceta, który wpadł jak burza do kawiarni. Przez niego o mało nie poplamiałam karmelowym cappuccino najlepszej sukienki w grochy. Nie dość, że nie przepuścił mnie w drzwiach, to nawet nie spojrzał w moim kierunku.

Nie dopuszczałam do siebie myśli, że przestałam działać na mężczyzn. Mógł mnie nie zauważyć, uciekając przed nadchodzącym deszczem.

Trzymając dwa papierowe kubki gorącej kawy, usiłowałam otworzyć drzwi łokciem. Nie udało się. Nie miałam innego wyboru, tylko potraktować je biodrem.

Znalazłam się na Greenwich High Street. Spojrzałam w złowrogo zachmurzone niebo. Letni wieczór przypominał listopadową aurę. Na szczęście nie miałam daleko.

Jego strata, pomyślałam. Uniosłam wysoko głowę i ruszyłam, kołysząc biodrami jak Marilyn Monroe w „Pół żartem, pół serio”. Obejrzałam ten film przynajmniej pięćdziesiąt razy, zanim udało mi się osiągnąć perfekcyjny efekt. Taki wysiłek zasługiwał na podziw przechodniów.

Zgrabnie stąpając w lakierkach na szpilce, dotarłam do rogu Church Street, minęłam ruchliwe skrzyżowanie prowadzące do Nelson Street. Nie zwracałam najmniejszej uwagi na rząd kremowych budynków z początku dwudziestego wieku, których widok zawsze wprowadzał mnie w dobry nastrój. Zazwyczaj witałam uśmiechem właścicieli okolicznych sklepików.

Na samym rogu znajdowała się kawiarenka serwująca wyłącznie ekologiczne produkty. Zamknięta o tej porze, rano tętniła życiem. Było to ulubione miejsce młodych matek, które pchały przed sobą najmodniejsze spacerówki, wymieniając poglądy na temat ekskluzywnych prywatnych przedszkoli i żłobków. Następne drzwi prowadziły do popularnego wśród studentów antykwariatu. Zaraz obok była ciastkarnia Susie's z witryną kuszącą najróżniejszymi rodzajami kunsztownych wypieków. Wszystko to wyglądało tak apetycznie, że nawet osoby rygorystycznie przestrzegające diety zatrzymywały się na chwilę, oblizując usta. Dalej znajdowały się tajska restauracja, kiosk z prasą i sklep oferujący praktycznie wszystko, pod warunkiem że było w kolorze różowym.

No i wreszcie mój własny, Coreen's Closet, prawdziwe królestwo stylowej odzieży używanej, perełki z odzysku, które mogły śmiało konkurować z najlepszymi placówkami tego typu w całym Londynie.

Humor wcale mi się nie poprawił, kiedy przekroczyłam próg sklepu, wywieszając tabliczkę „Zamknięte”.

Nikt nawet na mnie nie spojrział. Zdarzyło mi się to chyba po raz pierwszy i wcale dobrze nie wróżyło.

– Co cię gnębi? – spytała Alice, kiedy podałam jej kubek bezkofeinowej kawy z mlekiem. Moja współpracownica reprezentowała eteryczny typ urody – płomiennie rude włosy, jasna cera, szczupła sylwetka. No, obecnie wcale nie taka szczupła. Była w siódmym miesiącu ciąży.

Zdjęłam wieczko, pociągnęłam łyk cappuccino i się uśmiechnęłam. Opierała się o ladę, jakby zaraz miała się przewrócić.

– Złe wyglądasz – zauważyłam.

– Wielkie dzięki – odparła z cieniem ironii.

Odstawiłam kawę i poszłam na zaplecze. Wróciłam z torebką Alice i parasolką.

– Idź do domu. Zadzwoń, niech Cameron po ciebie przyjedzie. Sama poradzę sobie z przyjęciem nowego towaru.

Usiłowała protestować, ale nie zwracałam na to najmniejszej uwagi. Wyjęłam z torebki Alice telefon komórkowy, nacisnęłam numer jej męża i gdy usłyszałam sygnał, wręczyłam jej komórkę. Nie minęło piętnaście minut, a pojawił się opiekuńczy małżonek. Byłam pewna, że zaraz przygotuje jej gorącą kąpiel, wymasuje opuchnięte stopy i postara się spełnić każdy kaprys przyszłej matki.

Przecież taka jest rola mężczyzny, pomyślałam.

Oczywiście, nie chodziło mi o podtrzymywanie głowy podczas porannych mdłości. Nie byłam na to gotowa i jeszcze długo nie będę, ale spełnianie zachcianek to zupełnie inna sprawa.

Kiedy tylko drzwi zamknęły się za Alice, udałam się do biura na zapleczu. Otworzyłam notes w błyszczącej fioletowej oprawie i wzięłam się do pracy. Zwykle sprawiała mi wielką frajdę. Byłam emocjonalnie związana ze wszystkimi ciuszkami i akcesoriami. Z pewnym smutkiem myślałam, że kiedyś będę musiała rozstać się ze skarbami, które udało mi się zgromadzić na niewielkiej powierzchni sklepu, ale przecież musiałam jakoś zarobić na kosmetyki, no i na życie.

Za oknem powoli zapadał zmierzch. O tej porze ulica była raczej opustoszała, nie licząc grupki studentów z pobliskiego uniwersytetu, którzy zaopatrywali się tutaj w tanie jedzenie, a przede wszystkim w tanie piwo. Prawdziwy ruch w modnych barach i winiarniach zaczynał się trochę później. Praktycznie nikt nie zatrzymywał się przed witryną, a było co podziwiać – suknie wieczorowe i torebki wyszywane koralikami, które odbijały światło tysiącem kolorowych iskerek.

Usiadłam na podłodze pomiędzy ciasno rozwieszonymi wieszakami. Marszczona czerwona sukienka w białe grochy rozłożyła się w idealny wachlarz.

Odgarnęłam z czoła kosmyk czarnych włosów, który wysunął się ze starannie ułożonej fryzury.

Zajęłam się sortowaniem obuwia. Pierwsze wpadły mi w ręce srebrne botki na platformie. Sprawdziłam ich stan zużycia i rozmiar. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zatrzymać ich dla siebie. Czasami dla zabawy ubierałam się w takim stylu, ale najbardziej kochałam modę z lat pięćdziesiątych.

Według dzisiejszych standardów, promowanych przez chude jak patyk modelki, miałam zbyt pełne kształty. Byłam zbyt mało wysportowana, bez wyraźnie zaznaczonych mięśni, no i zdecydowanie zbyt błada. Moje krągłości należały do innej epoki, do czasów, w których rządziły syreny o wargach podkreślonych czerwoną szminką, a idealne kobiece kształty przypominały bardziej klepsydrę niż deskę do prasowania.

To głupie z mojej strony, że usiadłam po turecku. Zdrętwiały mi stopy. Kiedy usiłowałam je rozprostować, idealnie wykrochmalona halka zaszeleściła, zagłuszając dźwięk kropel deszczu obijających się o szybę.

Odstawiłam kozaczki na półkę, sięgając po boski czarny pantofelek ozdobiony kokardką. Przez chwilę mu się przyglądałam. Dotarło do mnie, że nie odhaczyłam na liście srebrnych kozaków.

Westchnęłam. Tego wieczoru dotyk satyny i jedwabiu jakoś nie sprawiał mi przyjemności. Nie wiedziałam, czemu coś było nie tak. Udało mi się osiągnąć wszystko, do czego dążyłam. Nie musiałam już przestępować z nogi na nogę za straganem, przeklinając nieprzewidywalną angielską pogodę. Coreen's Closet stanowił solidną inwestycją na przyszłość. Spółka z mężem Alice okazała się strzałem w dziesiątkę. W ten sposób powstał szybko rozwijający się sklep ze stylową odzieżą używaną, jeden z najbardziej obiecujących w południowym Londynie.

Udało mi się ściągnąć większość stałych klientów, którzy wcześniej zaopatrywali się na moim straganie. Poza tym sklep wzbudzał coraz większe zainteresowanie wśród młodej zamożnej klienteli. Byli gotowi zapłacić każdą cenę za metkę z nazwiskiem znanego projektanta. Osiągnęłam wszystko, o czym marzyłam. Nie mogłam zrozumieć, czemu nie rozpiera mnie w tej chwili poczucie satysfakcji, tylko siedzę na podłodze i gapię się bezmyślnie na buty.

Cóż, zazwyczaj robiłyśmy to z Alice. Bez niej było tu dziwnie cicho. Brakowało mi ploteczek, błahej rozmowy o niczym i dzielenia się radością, kiedy trafiałam na cudowną bluzkę wciśniętą między stertę rzeczy, o których zupełnie zapomniałam. Nieobecność Alice przypominała mi o kolejnych drastycznych zmianach zachodzących w moim życiu.

Do niedawna otaczał mnie tłum koleżanek bez zobowiązań. W tej chwili każda z nich była z kimś związana. Wolały rozmawiać o malowaniu dzieciniego pokoju niż o malowaniu paznokci. Zaczynałam czuć się wyobcowana i samotna,

a z własnego doświadczenia wiedziałam, co samotność może uczynić z człowiekiem.

Nie, żebym była zazdrosna.

Wyobraziłam sobie, że mieszkam w niewielkim domku z czerwonej cegły. Co wieczór oglądam tę samą twarz, gotuję obiad, martwię się nieopłaconymi rachunkami. Nie, to nie dla mnie. Zbyt przewidywalna szara codzienność. Uważałam, że z takiej sytuacji istnieją dwa wyjścia. Albo jeden z partnerów rezygnuje z marzeń i godzi się z nudą dnia codziennego, albo pewnego pięknego dnia opuszcza wspólne gniazdko, pozostawiając kartkę ze zdawkowymi słowami pożegnania.

Czyżbym ironizowała na temat szczęśliwych związków koleżanek? To nieprawda. Po prostu chciałam...

Problem w tym, że sama nie wiedziałam, czego chcę. Nie potrafiłam zdefiniować dziwnego niepokoju, który coraz częściej odczuwałam.

Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Kształtny biust wyeksponowany odpowiednim dekoltem sukienki. Już jako nastolatka miałam kobiecą sylwetkę, zaokrągloną we wszystkich właściwych miejscach. Dość wcześnie zorientowałam się, że przyjmując zalotną pozę i lekko wydymając usta, dziewczyna może osiągnąć praktycznie wszystko.

Teraz zdawało mi się, że powoli tracę poczucie rzeczywistości. Szczerze mówiąc, był taki jeden, który pozostawał obojętny na moje wdzięki.

Westchnęłam i nieobecny wzrokiem spojrzałam na srebrne kozaczki.

Postanowiłam się ogarnąć. Sam fakt, że jakiś gbur nie przepuścił mnie w drzwiach kafejki, nie oznaczał, że przestałam być atrakcyjna.

Schowałam botki do pudełka, dodając opis wysokości obcasa. Odgarnęłam z czoła niesforny kosmyk włosów.

Zająłam się sortowaniem okryć głowy i ozdób do włosów. Początkowo ignorowałam stukanie w szybę, przekonana, że to tylko deszcz, ale przecież nawet londyńska ulewa nie mogła robić tyle hałasu.

Wchodząc, wywiesiłam tabliczkę „Zamknięte”. Minęła już dziewiętnasta. Znając tempo dzisiejszej epoki internetu, gdzie wszystko jest natychmiast dostępne na kliknięcie, podejrzewałam, że to jakiś niecierpliw klient.

Podniosłam się niechętnie z podłogi, wygładziłam sukienkę, gotowa odprawić z kwitkiem nieproszonego gościa. Przybrałam surowy wyraz twarzy. Była to jedyna sytuacja, w której uwodzicielska postawa była absolutnie niewskazana.

Przez zalaną deszczem szybę dostrzegłam parę ciemnych oczu i brązową czuprynę, ale nie rozpoznałam ich właściciela. Super, któryś z moich anonimowych wielbicieli znowu się uwziął, żeby mnie nękać, pomyślałam.

Zbliżyłam się do drzwi. Wtedy rozpoznałam charakterystyczny szeroki

uśmiech.

– Adam! – krzyknęłam radośnie.

To był on we własnej osobie. Jak zawsze z błyskiem w oku, wyciągnął rękę na powitanie. W drugiej dzierżył wielką papierową torbę.

– Gdzie się podziewałeś? – spytałam, wciągając go do środka. Sądziłam, że nadal przebywasz gdzieś w głębi dżungli.

– Właśnie wróciłem – odparł z rozbijającym uśmiechem. W jego oczach zalśniły wesołe iskierki.

Spojrzenie Adama działało jak magnes. Praktycznie każda z moich koleżanek prosiła, żebym ją z nim umówiła.

Nigdy do tego nie doszło. Oczywiście oskarżały mnie, że jestem zbyt zaborcza i chcę mieć Adama dla siebie, ale z mojej strony był to zwykły instynkt samozachowawczy.

Kiedy znaleźliśmy się na zapleczu, poczułam apetyczny zapach jedzenia.

– To od Chińczyka – zawołałam z entuzjazmem.

Skinął głową, kładąc paczkę na samym środku stołu.

– Nie zastałem cię w domu, więc zadzwoniłem do Alice. Powiedziała, że rozkładasz w sklepie towar. Na pewno umierasz z głodu.

Uwielbiałam Adama Conrada. Nie tylko dlatego, że miał tak zwany siódmy zmysł. Na przykład przynosił coś do zjedzenia, kiedy skręcało mnie z głodu. Co więcej, zawsze zjawiał się z tym, na co akurat miałam ochotę. Nigdy nie pojawił się z pizzą, kiedy zamarzył mi się kebab.

Spojrzał na mnie zaskoczony, kiedy zdjęłam z półki koszyk z wikliny pomalowany na neonowy róż.

– Nadwyżka towaru z sąsiedniego sklepu – wyjaśniłam, wyjmując piknikowe talerze. – Wolisz w różyczki czy w stokrotki?

Lekko się skrzywił.

– A nie mogę zjeść prosto z pudełka? – spytał, rozpierając się na starej, obitej aksamitem kanapie, którą jakimś cudem udało się tu wcisnąć.

Zaprzeciłam ruchem głowy.

– Sama wybierz wzór, który przyniesie najmniejszą ujmę mojej męskości.

– Niech będą stokrotki. – Mrugnęłam porozumiewawczo.

Uniósł brwi i się roześmiał. To cały Adam. Nie sposób było wyprowadzić go z równowagi. Kiedyś jego spokój działał mi trochę na nerwy. Wierście mi, nie szczeniłam wysiłków, żeby go zdenerwować. Obecnie doceniałam jego opanowanie. Sama byłam wybuchowa. Niektórzy nawet twierdzą, że mam trudny charakter. Zrównoważony przyjaciel był dla mnie prawdziwym darem niebios.

Nakładaliśmy jedzenie różowymi łyżkami na różowe talerze. Pałaszując ogromne porcje różowymi widelcami, dzieliliśmy się wydarzeniami z ostatnich dwóch miesięcy. Zwykle widzimy się znacznie częściej, ale tym razem Adam

przebywał na długim służbowym wyjeździe. Według mnie były to raczej pełne przygód wakacje, o jakich marzy każdy chłopak, tyle że opłacone służbową kartą kredytową. Wspiął się na drzewa, podwieszał na linach drewniane domki i jeszcze mu za to płacili.

– Wszystko u ciebie w porządku? – spytał.

Spojrzałam na niego nieobecny wzrokiem. Na talerzu leżał widelec wbity w krewetkę. Nie zauważyłam nawet, kiedy przestałam jeść.

– Tak.

Adam zmarszczył czoło.

– Jesteś jakaś przygaszona. Mało się odzywasz. Ani razu mi nie przerwałaś. To dla ciebie nietypowe. No i ciągle wzdychasz.

– Naprawdę? – Spytałam, ale nawet dla mnie nie zabrzmiało to przekonująco. Nie byłam gotowa na rozmowę o tym, co mnie gryzie, ale wpadł mi do głowy inny pomysł.

– Babcia wczoraj wspomniała – zanurzyłam krewetkę w słodko-kwaśnym sosie – że mój zegar biologiczny zaczyna coraz szybciej tykać.

Adam zareagował dokładnie tak, jak się spodziewałam. Wybuchł histerycznym śmiechem.

– Nonsens – kontynuowałam, krzyżując ręce na piersiach.

Udawałam większą irytację, niż w rzeczywistości odczuwałam. Miałam nadzieję, że Adam połknie haczyk. – Nie słyszę żadnego tykania.

– Zatyczki do uszu – mruknął, nie odrywając wzroku od talerza, jakby liczył, ile krewetek mu jeszcze zostało do zjedzenia.

Rozejrzałam się po zapleczu. Nie miałam pojęcia, o czym mówił, ale przynajmniej nie wypytywał mnie o przyczyny złego nastroju.

Nagle zauważyłam pod biurkiem rozerwane tekturowe pudło pełne zimowych okryć na głowę, których nie zdążyłam posegregować. Na wierzchu leżało coś, co przypominało futrzane niebieskie kulki.

– To nauszniki – powiedziałam, unosząc je. – O tym mówiłeś?

– Niezupełnie. – Oblizął wargi. Spojrzał mi prosto w oczy, sięgając machinalnie do papierowej torebki. – Zatyczki do uszu to przenośnia. Nie słyszysz tego, czego nie chcesz słyszeć.

Zacisnęłam nerwowo palce.

– Będą do nich pasować klapki na oczy, oczywiście w grochy i na atlasowej podszewce.

Musiał się uchylić, inaczej niebieskie nauszniki wylądowałyby na jego twarzy.

– To, że nie słyszysz, wcale nie znaczy, że zegar nie tyka – zauważył. Szelmowski uśmiech nie schodził mu z twarzy.

Patrzyłam bez słowa w talerz.

– Gdyby chodziło o kogoś innego, typowałbym nieszczęśliwą miłość. Podobno masz rzeszę wielbicieli, którzy chodzą za tobą krok w krok jak wierne pieski, gotowi na każde skinienie.

– Ciekawe, kto cię uraczył takimi rewelacjami. – Podejrzewałam, że któraś z zazdrosnych koleżanek, nie pierwszy raz próbowała zepsuć mi opinię.

– Sama się chwaliłaś... jakieś dwa lata temu. To było tego wieczoru, kiedy w drodze powrotnej z pokazu mody zepsuł się nam samochód. Czekaliśmy kilka godzin na holownik. Było sporo czasu na zwierzenia.

Całkiem prawdopodobne. Mogłam powiedzieć coś takiego, kiedy po udanym pokazie odczuwałam szczególne zadowolenie. Nie spodziewałam się jednak, że Adam wypomni mi to po kilku latach.

Zresztą wcale nie przesadzałam. Wystarczyło jedno mrugnięcie długich, starannie podkreślonych rzęs, a gotowi byli spełnić każdy mój kaprys. Czasami ich prowokowałam zupełnie bez celu, tak dla zabawy.

Adam, rozparty na kanapie, nie przestawał się uśmiechać. Cały czas przyglądał mi się badawczo.

– Chyba wszystko zrozumiałem – odezwał się cicho.

Miałam przeczucie, że mnie rozszyfrował. Niestety zamiast obrócić to w żart, nagle stał się niezwykle poważny.

– Tak. – Skinął głową, jakby do swoich myśli. – Wreszcie trafiłaś na pieska, który nie przylatuje na każde zawołanie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wesprzyj głowę na moim ramieniu

Refleksje Coreen

Numer 2. Ktoś mógłby przypuszczać, że po takim czasie przywykłam i przestało mi zależeć na wrażeniu, jakie wywieram na mężczyznach. Nic bardziej mylnego. Kiedy nadejdzie taki dzień, założę rozciągnięty dres i przestanę o sobie dbać.

Adam przez chwilę wpatrywał się w sufit.

– Teraz wiesz, co trapi zwykłych śmiertelników. – Wybuchł ironicznym śmiechem.

Zwykle kiedy się śmiał, wprawiał mnie w dobry humor. Tym razem tylko dolał oliwy do ognia.

– Przestań. – Podniosłam się z miejsca poirytowana. – Mylisz się. – Postanowiłam, że za nic w świecie nie przyznam mu racji.

Kto jak kto, ale Nicholas Chatterton-Jones nie zasługiwał na miano małego pieska. Był przystojny, świetnie zbudowany, elegancki i dystyngowany. Można było go porównać do szlachetnego myśliwskiego psa czystej rasy z sięgającym pokoleń rodowodem.

Westchnęłam na samą myśl o nim. Prawdziwy ideał, o jakim marzy każda kobieta. Przystojny, zamożny, o doskonałych manierach. No i coś do niego czułam. Nie byłam pewna, czy to miłość, jednak bez przerwy o nim myślałam i śledziłam w internecie każdy jego krok.

– Znowu.

– O co ci chodzi?

W tej samej chwili zdałam sobie sprawę, że nie kontroluję westchnień. Nabiłam na widelec ostatnią krewetkę i spojrzałam na Adama.

Też nie kwalifikował się na małego pieska. Raczej samiec alfa rasy mieszanej, w pełni dojrzały. Kosmaty i godny podziwu.

Szczerze mówiąc, budzący zachwyty, ale przy bliższym kontakcie można było złapać pchły.

Tym razem trafił w moje czułe miejsce.

Siostra Nicholasa, Isabella, lub Izzi – bo nalegała, żeby tak się do niej zwracać – młoda, bywała w świecie osóbka, zapalała nagle wielką miłością do Coreen's Closet. Kilka lat temu skończyła studia i nie mogła się zdecydować, co dalej.

Miała więc wiele wolnego czasu na intensywne życie towarzyskie.

W związku z tym ciągle potrzebowała nowych kreacji i prawie codziennie wpadała do mnie na zakupy. Szybko zaczęła polecać Coreen's Closet zamożnym

koleżankom. Ta znajomość była dla mnie wyjątkowo korzystna, do tego zaprzyjaźniłyśmy się, chociaż nie zwierzałyśmy się sobie z najskrytszych sekretów.

Pewnie z wdzięczności, że znalazłam dla niej wspaniałą jedwabną suknię wieczorową w oryginalnym kolorze, zaprosiła mnie na kilka ze swoich głośnych przyjęć. Właśnie na jednym z nich pierwszy raz zobaczyłam Nicholasa.

Już na samo wspomnienie poczułam przyspieszone bicie serca.

Był wysoki, miał ponad metr osiemdziesiąt. Kruczoczarne włosy i mocno zarysowane kości policzkowe. Przypominał nieco Johnny'ego Deppa, ale był znacznie wyższy i mówił z akcentem typowym dla angielskiej arystokracji. Mogłam słuchać go godzinami. W zaciszu własnej sypialni starałam się naśladować jego sposób mówienia, ale wychowałam się w południowej części Londynu i wiedziałam, że te próby są skazane na niepowodzenie.

Żył w zupełnie innym świecie. W takim, o jakim zawsze marzyłam. Od wczesnego dzieciństwa ubierałam się jak osoba z wyższych sfer. Najwyższy czas, żebym wreszcie dopasowała wizerunek do stylu życia.

Gdybym kiedykolwiek zdecydowała się na stały związek, wybrałabym mężczyznę, który by mnie wielbił. Do tego musiałby być interesujący i musiałby mi imponować, inaczej szybko by mi się znudził. Miałam wrażenie, że taki właśnie jest Nicholas.

Spotkałam go trzy razy. Na początku udawałam, że nie zwracam na niego najmniejszej uwagi. Pozwoliłam, by podziwiał mnie z daleka. Miałam nadzieję, że poprosi Izzi, by nas sobie przedstawiła. W zeszły weekend postanowiłam wziąć sprawy we własne ręce.

Adam spokojnie pochłaniał moją porcję klopsików wieprzowych w słodko-kwaśnym sosie.

Zgoda, może istniało dwóch mężczyzn, którzy nie padali mi do stóp.

Ale Adam się nie liczył. Zналиśmy się od wielu lat. Od czasów, kiedy ja miałam osiem, a on dwanaście. Moja babcia grywała wtedy w badmintona z jego mamą.

Sięgnęłam po ostatni klopsik i powoli podniosłam go do ust.

Nie tylko mój dekolt, moje wargi też działały elektryzująco na osobników płci męskiej. Miałam tego pełną świadomość i bez skrupułów to wykorzystywałam. Dla wywołania większego efektu zawsze pociągałam usta czerwoną szminką. Używałam pałowej pomadki o barwie symbolizującej namiętność i krew. Faceci nie mogli oderwać ode mnie wzroku.

A na Adamie nie robiło to żadnego wrażenia. Chyba jestem trochę niesprawiedliwa, bo odkąd pamiętam, był moim najlepszym przyjacielem. Może to dlatego, że poznaliśmy się, zanim nabrałam kobiecych kształtów. Dziwne, ale nigdy mnie nie denerwowała prezentowana przez niego obojętność. Obecnie nie mieliśmy okazji widywać się tak często jak kiedyś, ale Adam nadal był moim

Najlepszym Przyjacielem. Każda kobieta potrzebuje takiego Przyjaciela.

To on bronił mnie przed docinkami kolegów, którzy dokuczali mi, bo mieszkalam u babci. Na jego ramieniu wylewałam gorzkie łzy, kiedy rozpadła się moja ulubiona kapela. I później, w wieku piętnastu lat, kiedy niechcący obciąłam sobie krzywo grzywkę. To on był pierwszą osobą, do której zadzwoniłam, kiedy dostałyśmy z Alice klucze do wymarzonego sklepu. Nie minęło pół godziny, a pojawił się z szampanem. We trójkę siedzieliśmy po turecku na podłodze, wznosząc toasty i sącząc bąbelki z papierowych kubków. Był dla mnie jak starszy brat i przyjaciel w jednej osobie. Pewnie dlatego spokojnie znosiłam, że mnie nie adoruje.

A skoro już mowa o adoracji... Ciekawe, dlaczego Nicholas nie zwrócił na mnie uwagi.

Moje starania w ubiegłą sobotę poszły na marne. Włożyłam czerwoną sukienkę bez ramiączek. Idealnie dobrałam odcień szminki. Tak ubrana wywierałam zawsze piorunujące wrażenie na facetach, a Nicholas spojrzał na mnie, jakbym była powietrzem. Kiedy niby przypadkowo zbliżyłam się do grupy osób, z którą rozmawiał, rzuciłam mu uwodzicielskie spojrzenie i zatrzepotałam długimi rękami, on nawet nie drgnął.

Albo z nim coś było nie tak, albo popełniłam jakiś straszliwy błąd. Tylko jaki? Niestety nic mi nie przychodziło do głowy.

– Więc... – zaczął Adam, podając mi na zgodę ostatnią krewetkę – opowiedz mi o tym księciu z bajki.

Mówił na pozór spokojnym tonem, ale dosłyszałam w jego głosie niepokój. Pewnie, jak dobry starszy brat, martwił się o mnie. Może to i dobrze, pomyślałam. Będę mogła spokojnie wypłakać się na jego ramieniu.

Tyle że Adam nie sprawiał wrażenia, jakby miał ochotę ocierać mi łzy. Wyglądał na opanowanego, ale bacznie mi się przyglądał.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc spojrzałam na niego niemal błagalnie. Jego spojrzenie nieco złagodniało.

– Idiota, nie wie, co traci – powiedział, wstając. Podał mi dłoń.

Zostawił dla mnie mniej zniszczoną część kanapy, tę, gdzie sprężyny nie wbijały się w siedzenie. Zajął miejsce obok.

Głośno westchnęłam. Nie było sensu dłużej udawać.

– Ten idiota to Nicholas Chatterton-Jones, brat jednej z moich stałych klientek.

Adam zmarszczył czoło.

– Ten Chatterton-Jones? Właściciel spółki inwestycyjnej z orłem w nazwie?

– Właśnie. – Czułam, jak zapadam się głębiej w kanapę, jakby ktoś wysał ze mnie całą energię.

Zagwizdał pod nosem.

– Miał grać w rugby w reprezentacji Anglii, ale w ostatniej chwili doznał kontuzji.

Tylko skinęłam głową. Odrobiłam pracę domową, zaglądając do internetu. Znałam szczegółowo wszystkie wydarzenia z życia Nicholasa, nie wspominając o historii rodu Chatterton-Jones sięgającej jakieś trzy pokolenia wstecz.

Spojrzeliliśmy na siebie bez słowa. Wiedzieliśmy, co za chwilę nastąpi. Zawsze działało się podobnie. Kiedy jedno z nas było w dołku, drugie uważnie słuchało i podejmowało się roli pocieszyciela. Ja opowiadam, a Adam w odpowiednich momentach przytakuje.

– Nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi – zaczęłam.

– Nie żartuj. Chyba nie jest ślepy? – zawołał z oburzeniem.

Natychmiast poczułam ulgę. Muszę przyznać, że Adam był znacznie lepszy ode mnie w roli powiernika. Zawsze dokładnie wiedział, co powiedzieć, żeby podnieść mnie na duchu. Żartobliwym tonem wyrażał troskę i wiarę we mnie.

Tak, właśnie tego oczekujemy od przyjaciół.

– W dodatku w zeszłą sobotę zachowałam się jak kompletna kretyńska – kontynuowałam, czerpiąc dziwną przyjemność z użalania się nad sobą.

– Trudno mi w to uwierzyć.

Przez jakiś czas trwała rozmowa w podobnym tonie. Tyle że zdradzając kolejne szczegóły porażki, czułam się coraz bardziej załamana, a i Adam z trudem trzymał się swojej roli. Jego uśmiech stawał się coraz bardziej wymuszony. Wreszcie oboje zamilkliśmy w pełni świadomości, że nasza gra do niczego nie prowadzi i oboje pogrążamy się w ponurym nastroju.

Uśmiechnął się do mnie szczerze, ale w jego oczach zobaczyłam smutek. Oparłam mu głowę na ramieniu. Ogarnęło mnie poczucie bezpieczeństwa, ciepła, spokoju. Chciałam wierzyć, że wszystko dobrze się ułoży, ale w głębi duszy byłam pełna wątpliwości.

Może to nie brzmi zbyt skromnie, ale nigdy do tej pory żaden mężczyzna nie traktował mnie, jakbym była przezroczyista. To zupełnie nowe doświadczenie, przywołujące dawne wspomnienia, które za wszelką cenę starałam się wyprzeć.

– Gdzie popełniłam błąd? – szepnęłam. Chciałam poznać męski punkt widzenia, choć wiedziałam, że Adam jest krańcowym przeciwieństwem Nicholasa. Chyba jednak dwóch różnych facetów łączy coś więcej niż przynależność do tej samej płci

Właśnie! – krzyknęłam w duchu. Odkryłam ich kolejną wspólną cechę.

Wyprostowałam się i spojrzałam uważnie na Adama.

– A dlaczego nie działałam na ciebie?

Jeśli udałoby mi się to zrozumieć, łatwiej rozszyfrowałabym obojętność Nicholasa.

Adam wydawał się zaszokowany. Właściwie nic dziwnego, bo wcześniej nie

poruszaliśmy damsko-męskich tematów. Kiedy próbowałam, zawsze był skrępowany. Teraz nie dawałam za wygraną i błagalnie zamrugałam powiekami.

– Nic takiego nie powiedziałem – wykrztusił. – Musiałbym być ślepy...

Tym razem ja nie byłam w stanie ukryć szoku.

– Więc dlaczego... – szukałam odpowiedniego słowa.

– Nie kręciłem z tobą? – podpowiedział.

Skrzywiłam się. Adam nie był typem faceta na przelotny romans.

– Sama odpowiedziałas na to pytanie – odparł, widząc mój grymas. – Zresztą widziałem, jak traktujesz mężczyzn. A ja nie zamierzam skakać na dwóch łapkach, nawet przed tobą.

– To nie tak – zaprotestowałam. Nigdy, przenigdy bym tego nie oczekiwała, szczególnie od Adama.

– Czyżby? – Zamrugał powiekami, wyraźnie imitując mój ulubiony sposób oddziaływania na mężczyzn. – Adam, skarbie, nie poszedłbyś dziś wieczorem ze mną na imprezę? Wiem, że zwracam się do ciebie w ostatniej chwili, ale bardzo potrzebuję moralnego wsparcia.

Zachichotałam nerwowo. Ożyły wspomnienia, do których nie chciałam wracać.

– Byliśmy bardzo młodzi. Małolaty często się wygłupiają – bagatelizowałam.

– A impreza u Sharon? Nazywasz wygłupami namiętne pocałunki z serdecznym przyjacielem? W dodatku tylko po to, żeby wzbudzić zazdrość innego...

Adam wypadł jak burza z tamtego przyjęcia i długo nie chciał ze mną rozmawiać. Nie działały na niego żadne z moich uwodzicielskich sztuczek. Wreszcie zjawiłam się na jego progu, zapominając nawet o makijażu. Błagałam, żeby dał mi jeszcze jedną szansę. Nie wyobrażałam sobie życia bez wiernego przyjaciela.

W końcu mi wybaczył, ale od tego czasu ignorowaliśmy fakt, że ja jestem dziewczyną, a on chłopakiem.

– Przepraszam – szepnęłam. – Jestem wstrętna. Nic dziwnego, że Nicholas Chatterton-Jones nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

Tym razem byłam szczerze rozżalona, dlatego wcale nie oczekiwałam, że Adam zaprzeczy.

Adam położył mi rękę na ramieniu, przytulił mnie mocno.

– Nie wygłupiaj się. Jesteś super. Doskonale wiesz. Tyle że ja nie jestem pieskiem, który pozwala prowadzić się na smyczy. Właśnie z tego powodu, no i paru innych, doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie, jak pozostaniemy przyjaciółmi.

Spróbowałam się uśmiechnąć. Adam pogładził mnie po włosach.

– Przykro mi, ale obawiam się, że w tym wypadku nie masz wielkich szans.
– Co masz na myśli? – Wyprostowałam się odruchowo.
– Ktoś typu Chattertona... Dla niego mniej to więcej. Tylko tyle mam do powiedzenia.

– Sądzisz, że jestem zbyt... – szukałam odpowiedniego słowa.
– Może...
– Taka już jestem i nie zmienię się nawet dla boskiego Nicholasa Chattertona-Jonesa.

Adam pokiwał głową.

– Ukrywasz prawdziwą osobowość pod tym wszystkim. – Zamaszyście machnął ręką. No tak, zapewne miał na myśli zbyt dużo lakieru na włosach, zbyt jaskrawą szminkę, zbyt mocno podkreślone rzęsy.

Nie bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć, bo makijaż i strój wyrażały właśnie to, kim się czułam.

– Od kiedy jesteś ekspertem od relacji damsko-męskich? Odkąd rozstałeś się z Hannah, nie byłeś w poważnym związku. – Przesunęłam się na przeciwległy róg sofy.

– Rozkręcałem firmę. Nie miałem czasu na nic innego. A w przeciwieństwie do ciebie uważam, że nie wolno traktować partnera, jakby był zabawką, którą porzuca się, gdy nam się znudzi.

Miałam wrażenie, że oboje w tej wymianie zdań posunęliśmy się trochę za daleko. Nie mogłam jednak pozwolić, żeby ostatnie słowo należało do niego.

– Nigdy mi nie powiedziałeś, dlaczego rozstałeś się z Hannah. Miała dość czekania, aż skończysz bawić się budową drewnianych altanek?

Wiedziałam, że był to cios poniżej pasa, ale od Adama oczekiwałam słów otuchy, a on pograżał mnie jeszcze bardziej. W pewnym sensie zasłużył na prztyczka w nos.

– Nie kochałem jej, choć bardzo chciałem. Uznałem, że udawanie byłoby nie fair.

Cały Adam. Ja szykowałam się do walki na noże, a on rozbrajającą szczerością wytrącił mi broń z ręki.

– Przykro mi, że tak lekceważysz moją pracę. Kocham to, co robię, jestem dumny z osiągnięć.

Miał absolutną rację. Zachowałam się wstrętne wobec najbliższego przyjaciela. I to tylko dlatego, że jakiś facet nie padł mi od razu do stóp.

– Przepraszam – powiedziałam cicho. Chciałam coś dodać, ale poczułam gulę w gardle.

– W porządku. Nie gniewam się. – Adam uścisnął mi dłoń. – A w tym Nicholasiu to się zadurzyłaś, prawda?

W tonie jego głosu wyczułam smutek, jakby mi współczuł. Chciało mi się

płakać, choć zawsze unikałam łez jak ognia. Nie po to nakładałam trzy warstwy tuszu do rzęs, żeby czarne smugi spływały mi smętnie po policzkach.

Sama nie wiedziałam, czemu Nicholas tak wpadł mi w oko. Wyglądał jak młody bóg, no i miał dużo kasy, ale było coś więcej, czego nie potrafiłam nazwać.

Spojrzałam w dół, ale nawet widok moich ślicznych czerwonych pantofelków z odkrytymi palcami nie poprawił mi humoru. Może babcia miała rację z tym tykającym zegarem, dobiegałam przecież trzydziestki.

Adam przysunął się bliżej i spojrzał mi w oczy.

– Coreen...

– Chyba masz rację. Przesadzam z makijażem, no i w ogóle... – przerwałam.
– Nieważne. Słyszałam, że ma dziewczynę.

– Do tej pory takie drobiazgi ci nie przeszkadzały.

Dałam mu kuksańca w bok.

– Żadnej nie odebrałam faceta. Nie moja wina, że sami odchodzili, jak tylko spojrzeli na mnie.

– Uwielbiam twoją skromność.

Dałam mu kolejnego kuksańca i szczerze się roześmiałam. Jak to możliwe, że znowu udało mu się mnie rozbawić?

– Jaka jest ta jego nowa dziewczyna? Myślisz, że masz szansę go odbić? – spytał z rozbawionym śmiechem.

– Ta okropna Louisa Fanshave. – Połknęłam przynętę. Gdyby chodziło o walkę wręcz, z pewnością odniosłabym zwycięstwo. Była typem mimozy, chwiejącej się przy najlżejszym podmuchu wiatru. Nie musiała się obawiać, nie zamierzałam podnieść na nią nawet małego palca.

– Słyszałem. Wstrętne babsko, angażujące się w paskudną działalność charytatywną. Odwiedziny chorych dzieci, pomoc bezdomnym. To rzeczywiście odrażające.

– Robi to tylko w przerwach między jednym a drugim występem na wybiegu, kiedy nie nosi strojów od słynnych projektantów.

Louisa Fanshave nie była piękna, ale robiła piorunujące wrażenie. Wysoka, szczupła, o wielkich smutnych oczach. Nieco powściągliwa. Typ modelki z pierwszych stron kolorowych magazynów. Właśnie takie kobiety podobały się Nicholasowi.

Westchnęłam. Chyba nie miałam najmniejszych szans. Właśnie zamierzałam pożalić się Adamowi, ale odezwał się pierwszy.

– Ten facet to kompletny idiota – powiedział poważnie, patrząc mi w oczy.

Wargi same ułożyły mi się do uśmiechu.

– Kocham cię, przyjacielu – zawołałam, zarzucając mu rękę na szyję.

Przez parę minut pozostawaliśmy tak w bezruchu. Czułam na szyi uspokajające ciepło jego oddechu.

– Trudno mnie nie kochać – szepnął.
W odpowiedzi uszczypnęłam go w ucho.

ROZDZIAŁ TRZECI

Na samo wspomnienie o Tobie

Refleksje Coreen

Numer 3. Pewnie sądzicie, że ktoś tak próżny jak ja uwielbia przeglądać się w lustrze. A ja czasami nie mogę na siebie patrzeć.

Przez kolejnych kilka dni rozważałam w myślach słowa babci.

Oczywiście podczas niedzielnej wizyty nie wspomniałam, że tym razem to może być coś poważniejszego. Zaraz zaczęłyby planować ślub, a ja nie wyobrażałam sobie przyszłości z jednym mężczyzną.

Niedziela przebiegła według niepisanego rytuału. Zjadłyśmy pieczeń i miałyśmy oglądać stary czarno-biały romans, popijając herbatę. Wcześniej, jak zwykle, weszłam do pokoju gościnnego. Uchyliłam skrzypiące drzwi szafy i przyglądałam się sukniom w plastikowych pokrowcach.

Wszystkie należały do mojej mamy. Zmarła we śnie jakieś dziesięć lat temu w tanim pensjonacie w Blackpool. Bezsensowna śmierć spowodowana tlenkiem węgla ulatniającym się z piecyka gazowego. Kiedy wieczorem nie pojawiła się w klubie, szybko zorganizowano zastępstwo i występ odbył się jak gdyby nigdy nic. Nikt nie jest niezastąpiony, to smutne. Odeszła bez echa, a przecież zasługiwała na pamięć, choć nie zawsze jej wybory życiowe zasługiwały na szacunek czy choćby usprawiedliwienie.

Wyjęłam na chybił trafił jedną suknię. Ogromne poduszki na ramionach i mnóstwo cekinów. Prawdopodobnie pochodziła z czasów, kiedy mama poznała mojego ojca. Wyobraziłam ją sobie w tej kreacji, z fryzurą w stylu Joan Collins podtrzymywaną tonami lakieru. Zapewne śpiewała rockową balladę.

Miała mocny ciepły głos pełen emocji, których nie potrafiła ukrywać. Z pewnością zrobiłaby wielką karierę, gdyby świat nie przesłonił jej mój ojciec, za którym uganiała się po całym kraju.

Miałam kilka płyt z jej nagraniami, ale rzadko ich słuchałam w obawie, że się zniszczą. Nigdy też nie przymierzyłam żadnej sukni, chociaż znacie moją słabość do ciuchów. Wiedziałam, że pasowałyby jak ulał, ale bałam się ujrzeć własne odbicie w lustrze, kogoś spoglądającego na mnie pełnym rozpaczyny wzrokiem mamy.

– Zabierz je. Może uda ci się zarobić parę groszy. – Nawet nie usłyszałam, kiedy babcia wślizgnęła się do pokoju.

Potrząsnęłam przecząco głową, starannie odkładając sukienkę.

– Napijesz się herbaty? – spytała, patrząc na mnie ze współczuciem.

– Świetny pomysł. – Nie dałam poznać po sobie smutku.

Kochałam babcie. Spędziłam z nią szczęśliwe dzieciństwo. Nic nie było

w stanie wyprowadzić jej z równowagi. Zawsze znajdowała czas, żeby mnie przytulić i upiec ulubione ciasteczka. Nigdy nie spoglądała na mnie nieobecnym wzrokiem, kiedy opowiadałam, co się wydarzyło w szkole.

Jako dziecko byłam przekonana, że mieszkam u babci, ponieważ mama jest bardzo zapracowana. Wieczorami śpiewała w barach, pubach i na statkach wycieczkowych pływających po całym kraju. Później zrozumiałam, dlaczego tak naprawdę prowadziła takie życie.

Nie poddawała się, gnana nadzieją, że znowu spotka mojego ojca, wielką miłość jej życia, a on wróci z nią do domu. Coraz bardziej załamana, oszukiwała się do ostatniej chwili.

Ale nie chciałam myśleć o mamie jako o smutnej, zgorzkniałej kobiecie usychającej z nieodwzajemnionej miłości. Wolałam wspominać szczęśliwe chwile. Takie, kiedy nocowała w małym gościnnym pokoju u babci. Kiedyś pozwoliła mi ubrać się w jej sukienkę, a nawet uczesała mnie w kok i umalowała mi powieki srebrnym cieniem. Włożyłam jej buty na obcasie. Podskakując i potykając się, udawałam, że występuję na scenie, a ona zaśmiewała się do łez. Mama miała piękny uśmiech rozświetlający całą twarz.

– Markizy z kremem do herbaty?

Tak pochłonęły mnie wspomnienia, że bez słowa podążyłam za babcią. Automatycznie usiadłam w fotelu, gotowa zagłębić się w czarno-białym świetle pełnym kurtuazyjnych amantów i wytwornych dam.

Akcja filmu nie zdążyła się dobrze rozkręcić, kiedy rozległ się dźwięk komórki. Babcia drgnęła, nie odrywając wzroku od Dirka Bogarde'a.

– Skarbie! To cudownie, że nie muszę zostawiać nagrania w poczcie głosowej! – usłyszałam.

Ten akcent rozpoznałabym na końcu świata. W przeciwieństwie do brata, który wysławiał się spokojnym, zrównoważonym tonem, Izzi Chatterton-Jones zawsze brzmiała egzaltowanie. Nawet kiedy zamawiała stolik w ulubionej restauracji, zdawało się, że chodzi o sprawę życia i śmierci.

– Cześć, Izzi.

– Mam genialny pomysł, skarbie. Musisz mi pomóc.

Znając Izzi, jakiś nieprawdopodobny pomysł wpadł jej do głowy w ostatniej chwili. Z drugiej strony świetnie się z nią bawiłam, a może i będzie okazja spotkać Nicholasa.

– Organizuję przyjęcie w wiejskiej posiadłości rodziców. Mama i ojciec wyjeżdżają w lipcu na południe Francji. W weekendy dom pozostaje do mojej dyspozycji. Super!

Przerwała, z pewnością oczekując okrzyków entuzjazmu. Jednak ja nie byłam zachwycona. Nie mogłam wyobrazić sobie nic gorszego. Błoto, deszcz, sportowe stroje, polowanie. Takie imprezy to nie dla mnie. Co innego, gdyby

Nicholas zaprosił mnie do swojego domu w Londynie. W luksusowej dzielnicy Belgravia, w białej rezydencji otoczonej czarnym kutym ogrodzeniem, to zupełnie co innego. Tam z przyjemnością spędziłabym weekend, oczywiście gdyby ktoś mnie zaprosił.

– Co o tym sądzisz? – spytała Izzi trochę zniecierpliwiona moim milczeniem.

– Cudownie – odparłam, by nie sprawiać jej przykrości. – Ale co to ma wspólnego ze mną?

– To będzie weekend tematyczny z wątkiem kryminalnym.

Wiedziałałam, że w porównaniu z rodem Chatterton-Jones byłam osobą z nizin społecznych, ale sugestia, że jestem zdolna do morderstwa, to już lekka przesada. Czyżby przez mój plebejski akcent uznali, że jestem spowinowacana z seryjnym mordercą zwanym Kubą Rozpruwaczem?

– Nie bardzo wiem, czego ode mnie oczekujesz.

– To będzie prawdziwe przedstawienie, z kostiumami. I tu zaczyna się twoja rola.

Odetchnęłam z ulgą. Byłam mistrzynią gry na zwłokę.

– Możesz mi podać więcej szczegółów?

Izzi rozgadała się na temat autentycznych kostiumów z lat trzydziestych, niezbędnych na weekend niczym z powieści Agathy Christie. Potrzebowała strojów dziennych, kreacji wieczorowych i kompletu odpowiednich akcesoriów dla ośmiu osób. Oczywiście wszystko musiało być w najlepszym gatunku.

Byłam lekko przerażona, ale otuchy dodawała mi myśl, że jeśli wszystko się uda, za parę lat mogłabym otworzyć kolejny sklep. Następny Coreen's Closet znajdowałby się gdzieś bliżej West Endu, zamożniejszej części Londynu. Znajomości Izzi znacznie przyspieszyłyby pozytywny rozwój wydarzeń.

– Każdy z nas będzie miał rolę do odegrania. Prześlę ci zaraz wszystko mejlem, żebyś zobaczyła, o co chodzi.

– Ile zamierzasz na to przeznaczyć?

– Bardziej zależy mi na jakości niż na cenie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaką rolę wybrałam dla ciebie. – Zachichotała.

Uśmiechnęłam się w duchu. Miałam cichą nadzieję, że zostanę zaproszona, choć trochę się obawiałam, że to wyłącznie zlecenie zawodowe.

Kiedy wspomniała, że wśród gości będzie Nicholas, udzielił mi się szczerzy entuzjazm Izzi. Będę miała wiele okazji zaprezentować się przed nim z najlepszej strony. Już sobie wyobraziłam rozmowę w cztery oczy przy drinku na ocienionym tarasie.

– Musisz przyjść z osobą towarzyszącą. – Głos Izzi przerwał marzenie o romantycznym spacerze z Nicholasem.

– Słucham? – zawołałam zbyt głośno.

– Błagam. Jestem zdesperowana. Jonti złamał nogę, skacząc na bungee gdzieś w Nowej Zelandii, a Jonathan nie zrezygnuje z jakiegoś głupiego meczu w krykieta.

– Zostało mało czasu – wymamrotałam.

– Poradzisz sobie. – Roześmiała się. Tysiące facetów wiele by dało, żeby z tobą spędzić weekend.

Czasami opinia osoby cieszącej się powodzeniem u płci przeciwnej mogła zaszkodzić. Może i przyciągałam uwagę, ale starałam się nie prowokować, o ile nie byłam zainteresowana. W moim życiu było znacznie mniej mężczyzn, niż powszechnie sądzono.

I co teraz? – zastanawiałam się. Nagle przyszło mi do głowy pewne rozwiązanie. Niby bardzo proste, tyle że mężczyzna, który był oczywistym wyborem, nigdy by nie przystał na mój plan. Jakoś sobie poradzę, nie raz wychodziłam z opresji, pomyślałam.

– Nie martw się, będzie dobrze – powiedziałam pogodnym tonem.

– Mam wrażenie, że coś knujesz – odezwał się Adam, machając energicznie wiosłami.

Nie widziałam dokładnie wyrazu jego twarzy, bo przepływaliśmy właśnie przez część stawu zacienioną jaworami.

– Dlaczego we wszystkim musisz wietrzyć jakiś podstęp? – spytałam słodko.

– Nie wiem. Może dlatego, że wpadłaś na pomysł wspólnej przejażdżki łódką po parku, a teraz spokojnie pałaszujesz loda, podczas gdy ja ciężko pracuję.

– Kupię ci loda, jak dopłyniemy do brzegu – obiecałam.

Przyglądałam się, jak napinały mu się bicepsy przy równomiernych ruchach wiosłami. Będę musiała zorganizować coś podobnego podczas weekendu z Nicholasem, postanowiłam.

Teraz korzystałam z okazji, żeby poćwiczyć atrakcyjne pozy. Chciałam wyglądać nobliwie i eterycznie, jak prawdziwa dama.

– Daj polizać – poprosił.

Nie miałam serca odmówić. Kiedy nachylił się tak blisko, że znalazł się pod moją parasolką, poczułam, jak rożek wypełniony przepyszną masą czekoladową wysuwa mi się z dłoni. Nagłe chlupnięcie, i zostałam sama w łódce. Adam, brodząc w sięgającej kolan wodzie, zmierzał z szerokim uśmiechem do brzegu, bezceremonialnie pochłaniając resztki loda.

Byłam tak zaskoczona, że prawie wypuściłam z dłoni parasolkę. Wtedy dopiero by mu się dostało. Zupełnym przypadkiem trafiłam na to unikatowe чудо, całe wykonane z delikatnej kremowej koronki.

Mylicie się, sądząc, że nie potrafiłam wiosłować. Wręcz przeciwnie. Wychodziło mi to całkiem dobrze. Kiedy byłam mała, łódki w parku wynajmowało się za parę groszy. Gdy dopisywała pogoda, często bywałam tu z babcią.

Widząc, jak sprawnie dobijam do brzegu, Adam wybuchł niekontrolowanym śmiechem. Miałam ochotę go zamordować.

Nic jednak nie dawałam po sobie poznać. Za chwilę zamierzałam go poprosić o wielką przysługę.

Posłałam całusa chłopcu z obsługi przystani, żeby pomógł mi zacumować. Byłam wzorem elegancji i opanowania jak Grace Kelly, której obraz miałam przed oczami.

Adam stał przy budce z lodami. Po chwili wręczył mi nienaruszony rożek z trzema kulkami czekoladowymi oblanymi truskawkowym sosem.

Wzięłam, co mi się słusznie należało.

– Jesteś mi winien drobne zadośćuczynienie – zaczęłam.

– Wręcz przeciwnie. To ty musiałabyś mi się odwdzięczyć za cały weekend w wiejskiej posiadłości, i to w jakimś idiotycznym przebraniu. Uznam, że jesteśmy kwita, jeśli pojedziesz obejrzeć mój najnowszy projekt.

Przybrał nietypowy dla siebie, dziwnie poważny wyraz twarzy.

Westchnęłam.

– Już widziałam wszystkie twoje drewniane domki.

– Wcale nie. – Pokręcił głową. – Byłabyś zaskoczona, czym się teraz zajmuję.

Raczej nie, pomyślałam. Moim zdaniem wszystkie domki są do siebie bardzo podobne. Owszem, byłam dumna z Adama. Przecież udało mu się przekształcić hobby w niezłe prosperujący biznes, ale takie osiągnięcie nie rzucało mnie na kolana.

– A co jest takiego wyjątkowego w tym, co budujesz teraz w Kent?

– Tamto skończyłem kilka miesięcy temu. Miałem na myśli hotel w Malezji. O mało nie zakrztusiłam się resztką loda.

– Nie stać mnie na bilet lotniczy do Malezji. Wszystkie oszczędności pochłania Coreen's Closet.

– Ja funduję – rzucił urażonym tonem.

Przyspieszył kroku, tak że ledwie mogłam za nim nadążyć. Wreszcie złapałam go za rękaw.

– W porządku. Pojadę – powiedziałam bez wielkiego entuzjazmu.

Nie uśmiechało mi się pokonanie kilkunastu tysięcy kilometrów tylko po to, żeby obejrzeć parę drewnianych domków, i to w dżungli. Nie cierpiałam dżungli, a przynajmniej tak mi się wydawało. To musiało być coś takiego jak palmiarnia, tyle że znacznie większe. Byłam raz w takiej, w Kew Gardens. Natychmiast zaczęłam lepić się od potu, no i mimo tony lakieru rozleciała mi się fryzura.

Nie miałam ochoty powtarzać tego doświadczenia i zastanawiałam się, jak z twarzą wykreścić się z obietnicy.

Czułam, że Adam czytał w moich myślach. Sytuacja stawała się coraz

bardziej niezręczna.

Jasne, nie chciałam go zawieść, ale wyprawa do Malezji w zamian za weekend w uroczej posiadłości w Anglii? Zbyt wygórowane oczekiwania.

– Nawet jeśli się zgodzę, to nie licz na to, że pomogę ci go poderwać. Nie jestem pewien, czy podoba mi się ten Nicholas Chatterton-Jones. – Wyglądał i mówił jak zatroskany starszy brat.

– W tej sprawie nie liczę na pomoc. Ty masz udobruchać Izzi. Zależy mi na utrzymaniu dobrych stosunków. Jej rozległe znajomości mogą mi bardzo pomóc w rozwoju sklepu.

Adam skinął głową.

– Dlaczego wybrałaś mnie, a nie jednego ze swoich oddanych wielbicieli?

– Bo masz rzadki dar zjednywania wszystkich wokoło i wszędzie czujesz się jak u siebie w domu. No i bezwarunkowo wierzysz, że jestem świetna.

Odpowiedzią był wybuch śmiechu.

Czemu nawet w takiej sytuacji nie potrafi zachować powagi? – zastanawiałam się.

– Zgadzasz się? – spytałam na pozór obojętnie.

Unikał mojego wzroku. Spoglądał gdzieś w bok, na wzgórze na drugim brzegu Tamizy, gdzie elegancka architektura z początku dwudziestego wieku harmonijnie współistniała z ultranowoczesnymi wieżowcami ze szkła i stali.

– Zastanowię się.

ROZDZIAŁ CZWARTY

To głupie

Refleksje Coreen

Numer 4. Praktycznie zawsze noszę czerwone pantofle. Zaczęło się zupełnie przypadkowo, a teraz w innych nie wyszłabym z domu.

Tydzień później udałam się do dzielnicy Belgravia. Do tej pory nie uzyskałam jednoznacznej odpowiedzi od Adama, choć wysłałam mu kilka e-maili z przypomnieniem. Pocztą zwrotną przesłał mi jedynie link do strony ze zdjęciami małego pieska radośnie merdającego ogonem. Czasem zaskakiwało mnie jego poczucie humoru.

Jeśli się nie pojawi, sama sobie poradzę, pocieszałam się w duchu. Babcia zawsze powtarzała, że kobieta z klasą, dobrze wychowana, potrafi odnaleźć się w każdej sytuacji. W istocie babcia wspominała jedynie o dobrych manierach, ale sama wiedziałam, że odrobina klasy nigdy nie zaszkodzi.

Dla zabicia czasu obserwowałam białą imponującą kamienicę.

Rodzina Chatterton-Jones zbiła fortunę na początku dziewiętnastego wieku, importując jedwab z Indii. Nicholas mógłby praktycznie prowadzić beztroski żywot, ale pomnażał majątek jako prezes prężnej spółki inwestycyjnej przynoszącej znaczne dochody.

W zamyśleniu patrzyłam na kute ogrodzenie otaczające rozległą posiadłość. Większość życia spędziłam w dzielnicy Catford w parterowym domku babci, który znajdował się w szeregowej zabudowie. Hol wejściowy rezydencji z pewnością był większy niż całe nasze mieszkanie.

– Skarbie, o mało cię nie przejechałam. Co robisz na środku ulicy? – zawołała Izzi, hamując z piskiem opon.

Od razu zwróciłam uwagę na swobodną elegancję, z jaką się poruszała. Była ubrana w kremowy kostium. Całości dopełniały jasny prochowiec i ciemne okulary.

Ja też zamierzałam zaprezentować się klasycznie, ale nagle dotarło do mnie, że stalowoszara garsonka, wierna kopia modelu sprzed pół wieku znanej projektantki Lilli Ann, pochodzi ze znacznie niższej półki. Między nami była przepaść, i nie chodziło jedynie o strój. Niewymuszona pewność siebie musiała rozwijać się od pokoleń. Ja próbowałam naśladować gwiazdy filmowe i za wszelką cenę starałam się wybić.

Izzi ujęła mnie pod rękę i poprowadziła w kierunku czarnych błyszczących drzwi wejściowy z kołatką w kształcie głowy lwa.

– Przepraszam, że ściągnęłam cię tutaj, ale Nicholas nie dał się namówić, żeby pojechać do przymiarki. Czasami potrafi być trudny. Załatwimy wszystko za

jednym zamachem. Reszta towarzystwa pojawi się w ciągu pół godziny.

Poczułam suchość w gardle na myśl, że za chwilę ujrzę Nicholasa we własnej osobie. Przyrzekłam sobie, że zachowam się powściągliwie i profesjonalnie.

W tej samej chwili usłyszałam odgłos kroków. Obejrzałam się za siebie. Zziąjany Adam uśmiechał się od ucha do ucha.

– To ty będziesz towarzyszyć Coreen? – Izzi zsunęła okulary na czoło i zmierzyła go wzrokiem.

Nie byłam pewna, czy podobało mi się jej spojrzenie. Już miałam powiedzieć coś w obronie Adama, ale dostrzegłam w jej wzroku wyraz aprobaty.

Adam nie przestawał się śmiać.

Uszczypnęłam go w łokieć. Gdyby nie obecność Izzi, poprosiłabym go, żeby przestał się wygłupiać.

Nie byłam w nastroju do żartów. Zaraz miałam spotkać się z Nicholasem, i to w jego własnym domu. Może kiedyś to będzie i mój dom, rozmarzyłam się. Serce waliło mi jak młot, ręce drżały.

Przywitał nas mężczyzna w mundurze. Przyciszonym tonem zamienił kilka słów z Izzi. Ruchem głowy wskazał szerokie marmurowe schody i znikł równie szybko, jak się pojawił.

– Jednak się zdecydowałeś – szepnęłam do Adama.

– Na to wygląda – odparł, nie przestając się uśmiechać.

– Dlaczego? – nie ukrywałam ciekawości.

Wzruszył ramionami, nie spuszczać wzroku z obrazów, z których każdy z pewnością kosztował majątek, ale na mnie żaden nie zrobił wrażenia.

– Chciałem osobiście sprawdzić, czy ten Nicholas jest dla ciebie wystarczająco dobry.

Moje rozdrażnienie znikło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Cieszyłam się, że jest przy mnie. Nie tylko dlatego, że Izzi byłaby niezadowolona, gdybym pokazała się bez pary. Jego obecność naprawdę dodawała mi otuchy.

– Na imprezę też przyjedziesz? – spytałam szeptem.

Spojrzał na mnie dziwnie.

– Przepraszam – wymamrotałam.

Dobrze go znałam i powinnam wiedzieć, że w nic nie angażował się połowicznie. To ze zdenerwowania. Wszystko się przeciągało. Do tej pory nie miałam nawet pewności, czy Nicholas jest w domu.

– Brat czeka na panią w salonie – odezwał się mężczyzna w mundurze. Po chwili jakby rozpląnął się w powietrzu.

Lekki dreszcz przebiegł mi po plecach. Tak nienaganne maniery zawsze mnie onieśmiały.

Z każdym marmurowym stopniem coraz bardziej kręciło mi się w głowie.

Wszystko wokół było niezwykle wyszukane i eleganckie. Miałam wrażenie, że na tle tak wyrafinowanego otoczenia wyglądam jak bohaterka z komiksu. Osoba absolutnie nie na miejscu. No i jeszcze ten mój plebejski akcent...

Postanowiłam, że najlepiej będzie prezentować chłodny profesjonalizm. Innymi słowy, będę się odzywać, tylko gdy będzie to konieczne. Tajemnicze kobiety są najbardziej intrygujące. W ten sposób zyskiwałam dwa tygodnie na pracę nad wymową.

Izzi wprowadziła nas do jasnego salonu o oknach sięgających praktycznie od podłogi do sufitu. Wnętrze było utrzymane w stonowanych barwach i elegancko, choć minimalistycznie umeblowane. Widząc Nicholasa, wstrzymałam oddech. Stał bokiem do drzwi. W szarych spodniach i rozpiętej pod szyją białej koszuli prezentował się wspaniale.

– Myślałem, że to żart, kiedy wspomniałaś o przymiarce – zwrócił się do siostry. Nawet nie spojrzał w moim kierunku.

Izzi pocałowała go w policzek.

– Skoro już jesteśmy, załatwmy wszystko sprawnie. W przeciwnym wypadku konieczne będzie kolejne spotkanie.

Uśmiechnął się do siostry z pewnym pobłażaniem.

– Miło znowu cię widzieć – zwrócił się do mnie.

W jego głosie wyczułam wahanie. Nawet nie zapamiętał mojego imienia. Poczułam się, jakby ziemia się powoli pode mną zapadła.

– Coreen Fraser – odpowiedziałam, nie dając nic po sobie poznać. – Mieliliśmy okazję poznać się na przyjęciu urodzinowym Izzi.

– Ależ tak. – Tym razem chyba mnie rozpoznał. – To u ciebie Izzi kupuje te wszystkie używane ubrania – dorzucił.

– Raczej klasyczne stroje z historią – sprostował szorstko Adam. – Coreen to pełna pomysłów kobieta sukcesu – dodał.

Nicholas zmarszczył brwi, kierując wzrok w stronę Adama.

Faceci tak mają, pomyślałam. To samce ludzkiego gatunku, które ciągle muszą udowadniać swoją przewagę.

– Adam Conrad – przedstawił się, wyciągając rękę na powitanie.

– Mój serdeczny przyjaciel – wyjaśniłam, obawiając się, że Nicholas może to mylnie zrozumieć.

Nie dostrzegłam jednak na twarzy Nicholasa wyrazu ulgi, jaki na ogół odczuwali inni mężczyźni, kiedy dowiadywali się, że z Adamem nie łączy mnie nic oprócz przyjaźni.

Dziwne, pomyślałam, obserwując z boku obu mężczyzn. Wydawało mi się, że Nicholas góruje wzrostem nad Adamem, a tymczasem byli prawie równi. No i Adam wcale nie wyglądał przy nim jak chłopiec. Raczej jak szorstki, trochę tajemniczy mężczyzna. Nagle zrozumiałam, dlaczego samotne koleżanki tak często

błagały, żebym je poznała z Adamem.

Panowie wymienili uściski dłoni, jakby siłowali się na rękę, i zamilkli, ale atmosfera nadal wydawała się bardzo napięta.

Przymknęłam na chwilę powieki, żeby się trochę opanować. Czulałam fizyczną bliskość Nicholasa, zapewne dlatego zrobiło mi się gorąco. Kiedy otworzyłam oczy, oniemiałam z zaskoczenia. Tuż obok mnie stał Adam.

Podeksytowana Izzi krążyła niespokojnie po pokoju.

– Ale będzie fajnie – wykrzykiwała co chwila.

– Nicky, ty pierwszy do przymiarki – zawołała, bezceremonialnie popychając mnie w jego kierunku.

Na szczęście złapałam równowagę. Wprawnym ruchem wyjęłam z torebki, wykonanej z wężowej skóry, centymetr krawiecki.

Nicholas przyglądał mi się trochę zmieszany. Chyba pierwszy raz zasłużyłam na coś więcej niż wyraz uprzejmego znudzenia.

– Jak... To znaczy gdzie... – szukał odpowiednich słów.

Pełna oczekiwania i podniecona tym, że za chwilę go dotknę, dałam się ponieść przyływowi adrenaliny.

– Spokojnie. Striptiz nie będzie konieczny. Mam wprawę w robieniu tego w ubraniu i bez ubrania. – I tak runął mój misterny plan chłodnego profesjonalizmu.

W wytwornym wnętrzu mój żart wcale nie zabrzmiał dowcipnie, raczej wulgarnie. Zarumieniłam się ze wstydu. Odwróciłam głowę, pilnie szukając czegoś w torebce.

– Taka już jest Coreen. – Izzi krztusiła się od śmiechu.

Od tej chwili postanowiłam trzymać język za zębami. Szybko i sprawnie wzięłam wszystkie wymiary Nicholasa. No, niezupełnie wszystkie. Jeśli chodzi o wewnętrzną stronę nogawki, musiałam uwierzyć mu na słowo. Byłam z siebie bardzo dumna. Przy całej procedurze nawet nie zadrżała mi ręka, zupełnie jakbym miała do czynienia z Gladys i Glynnis, manekinami z witryny Coreen's Closet, które udało mi się okazjnie nabyć na wyprzedaży.

Następnie skupiłam się na Adamie. I tu z poślizgiem wyszło całe moje zdenerwowanie. Kilka razy upuściłam centymetr i pogubiłam się w wymiarach, więc musiałam wszystko zaczynać od nowa. Dzięki Bogu, że Nicholas nic nie zauważył, pochłonięty ożywioną rozmową z siostrą.

Pozory mylą, pomyślałam, porównując wymiary obu panów. Adam był potężniejszy w barach od Nicholasa.

Skoro już wzięłam się do pracy, postanowiłam nie przerywać.

Wkrótce dotarli pozostali zaproszeni na weekend goście. Wśród nich Julian i Marcus. Gołym okiem było widać, że to absolwenci ekskluzywnych prywatnych uczelni. Na przekór mojej cichej nadziei przyjechała też chuda jak patyk Louisa

Fanshave. Na twarzy Nicholasa pojawiło się coś, co przypominało cień uśmiechu. Po chwili kazał podać kawę i croissanty.

Oczywiście Louisa ledwie coś skubnęła. Nie ufam dziewczynom, które się tak zachowują. Pewnie w samotności pochłonęłyby wszystko w okamgnieniu. A tu zostawiła więcej niż połowę pod pretekstem, że się najadła. Ja nie tknęłam rogalika z przyczyn czysto zawodowych. Nie mogłam przecież nakruszyć na gości ani poplamić im ubrań.

Izzi cały czas była niezwykle podniecona. Wcześniej obiecała, że tego dnia rozda poszczególne role i najwidoczniej nie mogła się już doczekać.

Ja również byłam ciekawa, co przypadnie mi w udziale. Wiedziałam jedynie, że tłem dla fabuły kryminalnej jest rodzinne spotkanie w wiejskiej posiadłości. Przypuszczałam, że Nicholas wcieli się w spadkobiercę rodowej fortuny. Marzyłam o roli jego narzeczonej. Upatrzyłam już sobie nawet ciemnoniebieską szyfonową suknię, która podkreślała moją karnację.

Izzi zaprosiła wszystkich na dwie wielkie kanapy ustawione naprzeciw kominka.

– Panowie pierwsi – zaczęła ze wzrokiem utkwionym w Juliana.

Wyjawiła, że przypadła mu rola nieco lekkomyślnego młodszego brata.

– To znaczy, że będziesz zmuszony odezwać się do kobiety. – Marcus klepnął go w plecy tak mocno, że biedny Julian pokrył się purpurowym rumieńcem i o mało nie oblał się kawą.

Z kolei Marcus miał wcielić się w złotego młodzieńca, serdecznego przyjaciela syna i spadkobiercy.

Kiedy dowiedziałam się, że Adam będzie kuzynem rodziny, a jednocześnie osobą duchowną, natychmiast postanowiłam wyposażyć go w sztuczną szczękę i perukę imitującą łysinę.

Oczywiście odgadłam rolę Nicholasa. Pozostawało mi tylko czekać na werdykt Izzi co do mojej osoby. Głęboko zamyślona, machinalnie sięgnęłam po czekoladowy rogalik.

– Ja będę lady Southerby – ogłosiła Izzi, klaszcząc w dłonie. – Starą złośliwą matroną, a wy wszyscy będziecie musieli mnie słuchać. Czyż nie cudownie?

Wpatrywałam się w Izzi pełna nadziei.

– Będziesz zachwycona, Coreen – zaczęła. – Ta rola wydaje się dla ciebie wprost stworzona.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Być może, być może, być może...

Refleksje Coreen

Numer 5. Odkąd skończyłam siedemnaście lat, codziennie maluję usta czerwoną szminką.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego mi to zrobiła. – Wydęłam usta jak do płaczu. – Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami.

Adam spojrzał na mnie z ukosa, zaraz jednak skierował wzrok przed siebie. Jechaliśmy drogą M25 z dużą prędkością.

– Zapomnij, Coreen. Minęły już dwa tygodnie.

To prawda, ale nadal wylewałam przed nim swoje żale.

– Tak w życiu bywa. Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma – zauważył z pewną wyższością.

– Ale z ciebie Sokrates. Nie potrzebuję filozoficznych sentencji, tylko... – poszukiwałam w myślach właściwego słowa.

– Wsparcia? – odpowiedział.

– Właśnie – podchwyciłam.

Na chwilę spoważniał.

– Masz je i zawsze będziesz miała. Dobrze wiesz.

Westchnęłam, opuszczając dłonie na kolana. Co racja, to racja, nigdy w to nie wątpiłam.

Włączył kierunkowskaz i zmienił pas, żeby wyprzedzić ciężarówkę. Żałowałam, że to nie ja prowadzę. Adam, zawsze taki rozsądny i godny zaufania, za kierownicą bywał nieobliczalny. Gdyby tylko wszystkie starannie odprasowane kostiumy zmieściły się w bagażniku mojego ukochanego volkswagena garbusa, nie wsiadłabym do jego czarnego, błyszczącego nowością range rovera.

– Kiedy pozbyłeś się Dolly? – spytałam, zmieniając temat.

Tak pieszczotliwie nazywał swoją starą wysłużoną terenówkę.

– Nadal ją mam. – Uśmiechnął się. – Ale potrzebowałam samochodu, który wzbudza większe zaufanie. Zwłaszcza kiedy jeżdżę do klientów.

Dotknęłam siedzenia tapicerowanego miękką kremową skórą. Ten samochód był rzeczywiście piękny na tyle, na ile piękna może być taka potężna maszyna. No i robił wrażenie. Musiał być bardzo drogi. Jakim cudem Adam mógł sobie pozwolić na takie drogie чудо? Miałam nadzieję, że nie sfinansował zakupu ze sprzedaży własnej nerki albo innego organu.

Wskaźniki zegara na desce rozdzielczej wskazywały godzinę czternastą czterdzieści. Jakies piętnaście minut jazdy dzieliło nas od rezydencji Inglewood Manor. Pozostali goście mieli przyjechać około szesnastej, ale ja chciałam być

wcześniej. Potrzebowałam czasu, żeby rozpakować kostiumy i rozwiesić w pokojach gościnnych.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że Izzi...

– Przestań! – zawołał Adam.

Nie sądziłam, że Izzi chciała mi zrobić na złość. Sama nie mogła się doczekać, żeby zamienić eleganckie kreacje na coś zupełnie innego. Pewnie doszła do wniosku, że i ja będę się świetnie bawić.

Adam zjechał z głównej drogi w aleję prowadzącą do Inglewood Manor. W milczeniu rozmyślałam o roli, która miała być moim udziałem przez cały weekend. Constance Michaels, siostra prowincjonalnego księdza, czyli Adama. W jej garderobie nie istniało coś takiego jak jedwabie czy koronki. Te były zarezerwowane dla przeraźliwie chudej Louisy. Mnie pozostały bezkształtne tweedowe kostiumy i bluzki w obrzydliwe kwiaty, nie wspominając o sznurowanych butach na płaskim obcasie.

Droga wiodąca bezpośrednio do posiadłości była wysadzana po obu stronach jodłami. Przez gałęzie prześwitywały równo przystrzyżone trawniki, klomby róż, a w oddali majaczył gmach z czerwonej cegły. Przed samym wejściem znajdował się owalny trawnik z miniaturowymi jodełkami przeróżnych gatunków i kształtów.

Oczywiście wcześniej oglądałam wiele zdjęć Inglewood Manor. Miałam świadomość, że rezydencja jest wielka i wytworna, ale i tak ten trzypiętrowy dom oszołomił mnie niezwykłą urodą. Misterne balustrady i czerwone kominy nadawały mu bajkowy charakter.

Adam zaparkował, przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Wsiadamy, Constance.

– Wyjmij kostiumy z bagażnika.

Z gracją otworzyłam drzwi i wysiadłam z samochodu. Wystudiowanym krokiem Marilyn Monroe ruszyłam w stronę wejścia.

Niewiele pamiętam z dalszej części popołudnia, tylko jakieś nieostre obrazy. Reszta towarzystwa zjawiała się, zanim zdążyliśmy wszystko dokładnie rozpakować. Nie miałam ani chwili na roztkliwienie się nad sobą.

– Coreen, możesz mi pomóc zasunąć zamek?

– Coreen, nie wiem, jak włożyć getry.

Ciągle ktoś mnie o coś pytał albo prosił o pomoc.

Praktycznie nie miałam nawet czasu dobrze przyjrzeć się wystrojowi wnętrza. W biegu zauważyłam wykładany drewnem korytarz, w którym mieściły się gościnne sypialnie. Dostrzegłam plafony na suficie, sztukaterie i zapewne cenne antyki.

Izzi zdecydowała, że wszyscy spotkają się w salonie o osiemnastej. Do tego czasu nie wolno im było opuszczać pokoi. Przebrania miały być absolutną niespodzianką. Oczywiście mnie ten zakaz nie dotyczył. Biegałam z pokoju do

pokoju, upinałam włosy, dobierałam akcesoria. Dosłownie padałam z nóg.

Nie podobała mi się wcale koncepcja Izzi. Przekreśliła moje plany, że będę miała przynajmniej pół godziny, by zrobić piorunujące wrażenie na Nicholasie, zanim wbiję się w ukrywający moje wdzięki kostium Constance.

Wreszcie wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Z ulgą zamknęłam się w swoim pokoju. Przysiadłam, by złapać oddech. Pokój wyglądał jak żywcem wycięty z magazynu wewnątrzarskiego adresowanego do wyższych sfer. Całość utrzymana była w tonacji kawy z mlekiem i przygaszonego błękitu. Do tego mahoniowe łóżko z baldachimem. Przynajmniej w nocy będzie okazja, by poczuć się jak księżniczka, bo w ciągu dnia mogłam o tym zapomnieć.

Miałam dla siebie tylko piętnaście minut. Szybko zdjęłam swoje ubranie stylizowane na lata pięćdziesiąte. Z zalem wysunęłam stopy z pantofli na szpilce.

Zwlekałam ze zmyciem makijażu. Nigdy nie pokazywałam się w świetle dziennym bez oczu podkreślonych czarną kredką i bez czerwonej szminki na ustach.

Przez ładnych parę sekund przyglądałam się własnemu odbiciu w lustrze. Za chwilę wraz z makijażem miało zniknąć moje prawdziwe ja. Sięgnęłam po wacik, zanurzyłam w mleczku... i wyrzuciłam. Nie mogłam się zdobyć na gest ograniczający moją osobowość. Postanowiłam zacząć od oczu. Wtedy przynajmniej nie będę musiała na siebie patrzeć. Jakoś mi poszło. Podjęłam kolejną próbę, żeby pozbyć się z warg czerwonej szminki, i kolejny czysty wacik wylądował w koszu.

Dobiegające z holu głosy gromadzącego się towarzystwa wyrwały mnie z letargu. Z determinacją policzyłam do trzech.

Kiedy było po wszystkim, odwróciłam się tyłem do lustra. Włożyłam paskudny oliwkowozielony tweedowy kostium, który początkowo przeznaczyłam dla Louisy, i brązowe sznurowane półbuty na płaskim obcasie.

Z niechęcią przeszłam do łazienki z lustrem od podłogi do sufitu. Musiałam sprawdzić, jak prezentowała się Constance. Im dłużej się przyglądałam, tym bardziej byłam w stanie zaakceptować swoje nowe wcielenie. Może i wyglądałam sztywno i grzecznie, nawet niemodnie, ale dostrzegłam w oczach jakiś dziwny blask i uwodzicielskie iskierki.

Rozległo się pukanie do drzwi. Podskoczyłam jak oparzona.

– Kto tam?

– Ja.

Zawsze i wszędzie rozpoznałabym ten głęboki, nieco dudniący głos.

Nie widziałam Adama od momentu, kiedy skończyliśmy rozpakowywać bagażnik. Zaoferowałam mu pomoc, ale odmówił z właściwym sobie poczuciem humoru.

Na jego widok doznałam lekkiego szoku. Nie rozumiałam dlaczego. Przecież

nie spodziewałam się, że ujrzę go w wytartych dżinsach. Sama wybrałam stalowoszary garnitur, odpowiednie obuwie i koszulę z koloratką. Uważałam zawsze, że osoba duchowna powinna wyglądać bezpłciowo, a tymczasem emanował urokiem znającego swoją wartość mężczyzny.

Adam też bacznie mi się przyglądał.

– Wyglądasz olśniewająco – powiedział ciepło z poważnym wyrazem twarzy.

– Jak nadziewana oliwka. – Znaczącym gestem wskazałam zapięcie żakietu. Wybierałam go z myślą o Lousie. Szczególnie wpadły mi w oko okrągłe okulary.

Właśnie, zupełnie o nich zapomniałam.

– Tylko poczekaj, aż będę gotowa do wyjścia.

Odwróciłam się i wzięłam z toaletki okulary w szylkretowej oprawie. Jeden z zawiasów był trochę obluzowany, więc leżały krzywo na czubku nosa.

Zwróciłam się w stronę Adama, gotowa odeprzeć wszelkie kpiny.

On tymczasem zbliżał się do mnie powoli, krok po kroku. Kiedy znalazł się na wyciągnięcie ręki, delikatnym ruchem wyprostował nieszczęsne okulary, nie przestając patrzeć mi w oczy. Cmoknął mnie w policzek i cofnął się o krok.

– Zawsze mnie podniecały kobiety w okularach.

Chciałam mu podziękować. Powiedział to, co w głębi duszy pragnęłam usłyszeć. Nie mogłam jednak wydusić z siebie ani jednego słowa.

Początkowo oczekiwałam, że będzie przytakiwał moim narzekaniom na to pensjonarskie przebranie. Zamiast tego dodał mi pewności siebie.

– Gotowa? – Podał mi ramię w komicznie oficjalnym geście.

Kiedy znaleźliśmy się na półpiętrze, pociągnął mnie za rękaw.

– Tylko spójrz na swoje dzieło.

Podążyłam za jego wzrokiem i natychmiast zrozumiałam, co miał na myśli. Całe towarzystwo, zgromadzone na dole, ubrane było od stóp do głów w stroje upolowane przeze mnie na pchlich targach Londynu. W bezsenne noce dobierałam do nich w myślach odpowiednie dodatki, a potem zapadałam w płytki sen, śniąc o perłowych guzikach i spinkach do włosów charakterystycznych dla epoki.

Przez krótką chwilę miałam wrażenie, że czas cofnął się o jakieś osiemdziesiąt lat, a ja oglądałam prawdziwe przyjęcie z lat trzydziestych ubiegłego wieku. Trudno było uwierzyć, że to ci sami ludzie, których dwa tygodnie temu spotkałam w zupełnie innych okolicznościach.

Najpierw zwróciłam uwagę na siwą perukę Izzi. W dłoni trzymała hebanową laskę. Tyle że kiedy się zapominała, wymachiwała nią, zamiast podpierać się z godnością matrony.

Szukałam wzrokiem Nicholasa. Przewyższał wzrostem pozostałych dwóch mężczyzn. Wyglądał oszałamiająco, choć prawdę mówiąc, nie zaobserwowałam drastycznej przemiany. Wiadomo, ładnemu we wszystkim ładnie.

Julian i Marcus prezentowali się odpowiednio szykownie do swoich ról. Mieli na sobie jednorzędowe marynarki, spodnie zaprasowane w kant i białe koszule ze sztywno wykrochmalonymi kołnierzykami. Dobra robota, pochwaliłam się w duchu.

Następnie rozpoczęłam lustrację pań.

Jos, najlepsza przyjaciółka Izzi, kręciła się w kółko w uniformie pokojówki. Flirtowała zawzięcie z Nicholasem. Powinni ją natychmiast zwolnić, pomyślałam, mocno wczuwając się w swoją rolę.

Widok Louisy sprawił mi prawdziwy ból. Głęboko wycięta suknia z bordowego jedwabiu, którą wybierałam z myślą o sobie, niepokojąco dobrze leżała na chorobliwie szczupłej sylwetce.

Izzi zauważyła nas u dołu schodów, prowadzących do salonu przez wyłożony marmurem hol.

– O rany! – zawołała. Podbiegła, odrzucając laskę. – Witam, pastorze – powiedziała uwodzicielskim tonem. – Kiedy będę miała okazję wyznać wszystkie grzechy?

Coraz mniej podobała mi się ta wymiana zdań. Chrząknęłam dla zwrócenia na siebie uwagi.

Izzi wreszcie przestała tasować wzrokiem czcigodnego Michaela i skierowała całą uwagę na mnie.

– Niesamowita metamorfoza, ledwie cię rozpoznałam! – krzyknęła, nie kryjąc entuzjazmu. – Wiedziałam, że będziesz się świetnie bawić – szepnęła konspiracyjnie.

Nie zaprzeczyłam.

Wszyscy uczestnicy już przybyli, więc Izzi przedstawiła organizatorów z wynajętej firmy. Jeden odgrywał rolę lorda Southerby'ego, czyli jej męża, a drugi zarządcy posiadłości. Po krótkim wprowadzeniu, któremu się zbytnio nie przysłuchiwałam, rozdali nam duże białe koperty z opisem postaci, w które mieliśmy się wcielić.

Następnie udaliśmy się do ogromnego salonu wypełnionego antycznymi meblami. Na ciemnozielonych ścianach wisiały portrety przodków o surowym wyrazie twarzy. W centralnym punkcie znajdował się kominek, a wokół fotele i kanapy wyściełane zakardową tkaniną o barwie dojrzałej śliwki, przykryte całą masą poduszek o różnych kształtach. Gdzie indziej takie urządzenie wnętrza mogłoby się wydawać dziwne, ale w salonie Inglewood Manor było jak najbardziej na miejscu. Łagodziło surowy charakter pomieszczenia, czyniąc je niezwykle eleganckim, a jednocześnie przytulnym.

Z niechęcią obracałam w dłoniach kopertę. Miałam przecucie, że mój misterny plan rozkochania w sobie Nicholasa legnie w gruzach. Przyjęcie rodzinne zostało zorganizowane w celu ogłoszenia zaręczyn Nicholasa i Louisy, a raczej

Ruperta i Francis.

– Zaraz zostaną podane drinki i każdy będzie miał chwilę na zapoznanie się ze swoją rolą – ogłosiła Izzi autorytatywnym tonem lady Southerby.

Spojrzałam w kierunku, gdzie stała nieskazitelnie elegancka Louisa. Ten typ anielskiej urody przywoływał w pamięci obraz średniowiecznej księżniczki. Podczas gdy moje zaokrąglone we właściwych miejscach kształty budziły mniej niewinne skojarzenia.

Zawsze uważałam to za swój atut, ale czasami miałam wrażenie, że postrzegano mnie jako łatwy obiekt pożądania, a nie kobietę godną prawdziwej miłości.

Wreszcie zdecydowałam się otworzyć kopertę. Okazało się, że scenariusz Izzi był rozplanowany co do minuty. Trudno, nie będę miała okazji poflirtować z Nicholasem. Przejrzałam listę działań zmierzających do rozwikłania zagadki kryminalnej, dokładny opis postaci Constance i pozostałych bohaterów. Moim pierwszym zadaniem było zorientować się, dlaczego Harry, mój starszy brat, stał się nagle wobec mnie taki opiekuńczy.

Czy sztuka imituje życie, czy odwrotnie? – zastanowiłam się i uśmiechnęłam ironicznie.

Adam stał tuż obok mnie, w miejscu, które w myślach zarezerwowałam dla Nicholasa. Usiłował zajrzeć mi przez ramię.

Szybko złożyłam kartki.

– Tylko bez podglądania. – Spojrzałam znad okularów.

– Świetnie w nich wyglądasz – zauważył.

– Nie wczuwasz się w swoją rolę. Brat nie powinien zwracać się w ten sposób do siostry.

– A jeśli wcale nie żywię do ciebie braterskich uczuć? – powiedział, jak na niego bardzo poważnie.

Z westchnieniem spojrzałam na Nicholasa i Louise, pograżonych w rozmowie, z lampkami szampana w dłoniach.

– Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma, pamiętasz? – spytałam z niewinną miną.

– Co za dureń ci to powiedział?

Uśmiechałam się znacząco. Adam opadł na sofę, jakby był myślami zupełnie gdzie indziej.

– Bracie – zaczęłam tonem Constance – możesz zdradzić, czemu nagle zacząłeś się tak o mnie troszczyć?

Adam machnął mi przed oczami białą kopertą.

– To sekret.

– Adam, przecież nigdy nie miałeś przede mną tajemnic.

– Teraz mam na imię Harry. – Podrapał się z zakłopotaniem w głowę. – Ale

i Adam potrafi milczeć jak grób, nawet przed tobą.

– Nieprawda. – Pokręciłam głową z niedowierzaniem.

Już zamierzałam wyciągnąć z niego ten rzekomy sekret, ale podniósł się z miejsca.

– Przepraszam, ale w tej chwili moim zadaniem jest wybadać, co ma do powiedzenia pokojówka Ruby Coggins.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie tracąc nadziei

Refleksje Coreen

Numer 6. Niektórzy toną w szczegółach i umyka im to, co najważniejsze. Ja nie potrafię odkryć samej istoty rzeczy.

W czasie obiadu posadzono mnie pomiędzy Julianem a Marcusem. Nicholas zajął miejsce na przeciwległym końcu bezsensownie długiego stołu, koło Louisy. Zanim podano drugie danie, wiedziałam absolutnie wszystko o kontuzjach Marcusa doznanych podczas gry w rugby i absolutnie nic na temat Juliana. Brakowało mi towarzystwa Adama, bo przynajmniej miałabym z kim pożartować, ale siedział obok Jos.

Nie byłam specjalnie głodna i miałam dość dosadnych szczegółów dotyczących operacji barku Marcusa. Chyba nigdy w życiu tak się nie wynudziłam. Wpadł mi nawet do głowy pomysł, żeby zatańczyć na idealnie wypolerowanym stole z drewna orzechowego, ale na szczęście nie zdążyłam go zrealizować.

Nagle zgasło światło.

W całkowitych ciemnościach dał się słyszeć piskliwy kobiecy głos. Ktoś triumfalnie zachichotał. Dałabym głowę, że to była Izzi.

Właśnie opracowywałam awaryjny plan zwrócenia na siebie uwagi Nicholasa. Zamierzałam podbiec i cmoknąć go z nienacka w policzek. Kiedy już odsunęłam krzesło, zapaliło się światło. Wszyscy zamrugali powiekami. Rozglądali się wkoło, mrużąc oczy.

Nie sposób było go nie zauważyć.

Lord Southerby leżał z twarzą na talerzu ze stygnącym drugim daniem, a z pleców wystawał mu sztylet.

Zgromadzeni wstrzymali oddech, starając się pojąć, co się stało. Louisa położyła głowę na ramieniu Nicholasa, a ten otoczył ją opiekuńczym ramieniem. Gdyby mój wzrok miał siłę rażenia, to Louisa zajęłaby miejsce lorda Southerby.

Izzi drżącym głosem poprosiła lokaja o imieniu Robert, żeby wezwał policję. Potrafiła dobrze grać, a przy tym świetnie się bawiła.

Jeden z animatorów, odtwórca roli zarządcy, poprosił wszystkich o przejście do salonu, gdzie właśnie podano koniak.

Oprócz koniaku czekały na nas kolejne białe koperty z dalszymi instrukcjami postępowania.

Miałam za zadanie sprawdzić, czy narzeczona Ruperta nie czyha wyłącznie na jego fortunę i dlaczego sam Rupert ostatnio dziwnie się zachowywał. Powinnam również dowiedzieć się, czy lord Southerby zapisał mi coś w testamencie i dlaczego Giles...

Nicholas stał w przeszklonych drzwiach, chwilowo bez uczeptionej u rękawa Louisy.

Pozwoliłam sobie trochę puścić wodze fantazji.

Ze starego gramofonu rozbrzmiewają dźwięki sentymentalnej piosenki miłosnej z lat trzydziestych. Przez uchylone na taras drzwi rozciąga się widok na romantycznie skąpany w świetle księżyca ogród. Nicholas zaprasza mnie do tańca. Z wrodzonym wdziękiem przyjmuję zaproszenie. Przytuleni, poruszamy się powoli w takt muzyki.

Magia chwili prysła wraz z wejściem mężczyzny w wytartej marynarce. Po chwili okazało się, że to kolejny animator, w roli nieco zagubionego detektywa.

Rzucił kilka sugestii dotyczących motywu zbrodni i poszedł obejrzeć miejsce zabójstwa. Następnie rozpoczęło się przesłuchanie podejrzanych. Zupełnie inaczej niż w rzeczywistości, detektyw Moffat zadawał nam pytania w obecności pozostałych. W ten sposób bardzo szybko udało nam się poznać charakter lorda Southerby'ego.

Był surowym ojcem, który zdecydowanie preferował starszego syna Ruperta, za to niemal zupełnie ignorował jego młodszego brata Gilesa. Znany był jako notoryczny kobieciarz. Chodziły słuchy o niejasnych poczynaniach finansowych, w jakie angażował się w przeszłości. Detektyw udawał, że kontaktuje się telefonicznie z prawnikiem rodziny. Następnie oznajmił, że dwa tygodnie wcześniej lord Southerby rozmawiał z adwokatem w sprawie zmiany zapisów w testamencie.

W obecności detektywa wszyscy próbowali trzymać się ustalonego scenariusza. Kiedy wyszedł, mieliśmy za zadanie przepytywać się wzajemnie, ale wkrótce rozmowa zeszła na inne tematy, takie jak wyniki ostatniego meczu piłki nożnej czy najmodniejsze fasony butów w tym sezonie. Coraz częściej zwracaliśmy się do siebie po imieniu. Tylko Izzi nie wypadła z roli. Siedziała sztywno wyprostowana w fotelu, lustrując wszystkich surowym spojrzeniem. Nie reagowała, kiedy ktokolwiek tytułował ją inaczej niż „lady Southerby” lub „Evangeline”.

Pozbyłam się potwornych okularów, chowając je zrećznie za ramką ze zdjęciem Nicholasa z dzieciństwa. Przedstawiało pucołowatego dwulatka o zaskakująco poważnym wyrazie twarzy.

Zaczęłam krążyć po salonie, zadając pytania „podejrzanym”. Cały czas ukradkiem obserwowałam Nicholasa, żeby zagadnąć go w najbardziej sprzyjającym momencie.

– Kuzynie, proszę przyjąć moje kondolencje z powodu śmierci ojca. – Położyłam mu delikatnie dłoń na ramieniu i przytrzymałam trochę zbyt długo, biorąc pod uwagę okoliczności.

Nicholas obrócił się i spojrzał na mnie. Jego twarz nie zdradzała żadnych

emocji.

– Dziękuję – odparł dość obojętnie.

Staralam się kontrolować oddech. Obawiałam się, że ze zbyt opiętego w biuście zakietu lada chwila może odpaść guzik.

– Lord Southerby, chciałam powiedzieć wuj Edward, miał zawsze do mnie słabość. Nie domyślasz się dlaczego?

Stojący obok Marcus cmoknął znacząco.

– Ten stary drań nie przepuścił żadnej kobiecie – wtrącił się do rozmowy.

Zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów. Miałam wrażenie, że rozbiera mnie wzrokiem.

– Nie trudno domyślić się dlaczego – zauważył Marcus, nie spuszczać oczu z miejsca, gdzie zakiet zdawał się pękać w szwach.

Nicholas patrzył gdzieś w bok.

– Mój ojciec mógł mieć ku temu inne powody, ale niczego więcej się ode mnie na ten temat nie dowiesz.

Adam przesunął wzrok z Nicholasa na mnie i z powrotem.

– To nie miało nic wspólnego ze zmianą testamentu, prawda? Nie pozwolę, żeby ktoś wypowiadał się dwuznacznie na temat mojej siostry.

– Może tak, może nie. – Po raz pierwszy Nicholas spojrział na mnie z wyrazem pewnego zainteresowania, a przynajmniej tak mi się wydawało.

– Przepraszam, jeśli powiedziałem coś niestosownego. Nie zamierzałem cię obrazić.

Uśmiechnęłam się do niego, wdzięczna za troskę o moją reputację.

– Czy możemy zakończyć to bezsensowne poszukiwanie poszlak? – rozległ się zniecierpliwiony głos Marcusa.

Wszyscy oprócz mnie przyjęli tę sugestię z wyraźną ulgą. Zaczęli rozmawiać o wspólnych znajomych, których w życiu nie widziałam na oczy. Kiedy zabrakło im już tematów, przypomnieli sobie, że w salonie jest ktoś spoza ich wąskiego kręgu, i skierowali uwagę na mnie i mojego przyjaciela.

Louisa utkwiała wzrok w Adamie. Siedział wygodnie rozparty na kanapie, z kieliszkiem brandy w dłoni.

– Czym się zajmujesz? – zagadnęła. – Tylko nie mów, że całe dni przerzucasz papiery jak ci nieszczęśnicy.

Adam uśmiechnął się i zaprzeczył ruchem głowy.

– Zaczynałem zupełnie inaczej, ale ostatnio coraz więcej czasu spędzam za biurkiem. Prowadzę firmę, która zajmuje się budową drewnianych obiektów rekreacyjnych.

– Kiedy miał piętnaście lat, zbudował pierwszy dom na drzewie, żeby mieć gdzie się ukryć przed swoimi trzema siostrami – wyjaśniłam.

– Tak? – Louisa zdawała się nieco zawiedziona. Uśmiechała się sztucznie do

Adama. – To świetnie, że udało ci się przekształcić hobby w źródło dochodów.

– Gdybym tak mogła – jęknęła Jos.

Mimo tego, że nadal miała na sobie strój pokojówki, rozpięła się na kanapie obok nas.

– Niestety nikt nie chce mi płacić za wylegiwanie się do południa i chodzenie po sklepach.

Pewnie temat umarłby śmiercią naturalną, gdyby nie Julian.

– Powiedz coś więcej o tych drewnianych obiektach – poprosił ze szczerym zainteresowaniem.

Pozostali spojrzeli na niego, jakby złamał jakąś niepisana zasadę.

Julian zaczerwienił się i pociągnął łyk sherry.

– Mama wspominała coś o remoncie starego domku letniskowego – bronił się, ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

Adam zaś patrzył prosto w oczy wszystkim, którzy próbowali go oceniać. Zupełnie się nie przejmował, że wybrany przez niego zawód najwidoczniej uznali za niezbyt interesujący i prestiżowy.

– Moja firma zajmuje się budową obiektów rekreacyjnych na indywidualne zamówienie. Największym powodzeniem cieszą się domki drewniane podwieszane na drzewach.

– Takie słodkie domki dla dzieci. – Louisa uśmiechnęła się krzywo.

– Nie tylko. Byłabyś zaskoczona, ilu dorosłych marzy o drewnianym domku na drzewie. Chcą uciec od problemów dnia codziennego.

– Naprawdę są luksusowe? – nie dawała za wygraną Louisa.

– Masz na myśli taki domek, jaki zamówił Michael Dove? – spytała Izzi, po raz pierwszy tego wieczoru wypadając z roli lady Southerby. – W zeszłym tygodniu widziałam zdjęcia jego rezydencji w jakimś kolorowym magazynie.

– Ten Michael Dove? Gwiazda rocka? – spytała Jos z niedowierzaniem.

– To dzieło mojej firmy – potwierdził Adam. – A ile frajdy miałem, projektując to wszystko: dwa pokoje z kuchnią i łazienką. Do tego system kina domowego, który słyhać na odległość trzech kilometrów. Powiedział, że chce przyjmować gości inaczej niż wszyscy.

– Na drzewie? – nie mogła pojąć Louisa.

– Na trzech ogromnych sosnach – wyjaśnił cierpliwie Adam.

– Ciekawe, na ile go skasowałeś – zainteresował się Marcus.

Izzi wymieniła kwotę, która przekraczała cenę mojej ciasnej kawalerki w dzielnicy Lewisham.

Umoczyłam usta w kieliszku porto, ale z wrażenia aż się zakrztusiłam. Adam dyskretnie wyprowadził mnie z salonu i poprosił Roberta o szklanek wody.

Kiedy złapałam wreszcie oddech, spojrzałam na niego jak na innego człowieka. A ja głupia myślałam, że wiem o nim absolutnie wszystko.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że tak dobrze ci idzie? – spytałam z pretensją w głosie.

– Coreen, nie raz opowiadałem ci o mojej pracy. – W jego oczach zauważyłam smutek.

– Nigdy nie operowałeś konkretnymi sumami. Może wtedy zwróciłabym większą uwagę.

– Nigdy nie pytałaś. – Zaciśnął wargi. – Zresztą gdybyś słuchała, zamiast tylko udawać, że słuchasz, sama byś się domyśliła.

– Przepraszam – powiedziałam, z trudem patrząc najlepszemu przyjacielowi w oczy.

Nie myliłam się, zakładając, że na terenie wiejskiej posiadłości znajduje się staw. Oczywiście w parku. Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że to naturalne jezioro. Jednak mała wyspa na środku i całe otoczenie, łącznie z płaczącymi wierzbami, było odrobinę zbyt symetryczne i perfekcyjnie ukształtowane.

Słoneczne letnie popołudnie potęgowało sielankową atmosferę. Trzciny szumiały przy lekkich podmuchach wiatru, a bajecznie kolorowe ważki unosiły się nad powierzchnią wody.

Wszystko zdawało się idealne. Nic mnie nie obchodziło, czy to dzieło natury, czy człowieka. Po fatalnym poranku należało mi się właśnie takie idylliczne popołudnie.

Zaraz po śniadaniu Izzi zarządziła spacer po okolicy. Nie kryła rozczarowania, że do tej pory nie udało nam się trafić na żadne istotne poszlaki. Narzekała, że zbyt słabo wczuwamy się w swoje role.

W czasie lunchu wpadła na genialne rozwiązanie. Przejazdźka łódkami w parach, które do tej pory nie miały zbyt wiele okazji, żeby wymienić informacje.

Wreszcie coś ułożyło się dokładnie po mojej myśli. Za chwilę miałam się znaleźć sam na sam z Nicholasem. Żaden artysta nie mógłby stworzyć bardziej romantycznej sceny. Bezchmurne niebo, słońce, nawet para łabędzi kręcąca się przy brzegu. Uznałam, że to znak niebios. Znajdę sposób, by przekonać Nicholasa, że zostaliśmy dla siebie stworzeni.

Wreszcie nastąpiła długo wyczekiwana chwila. Wpatrywałam się w napięte mięśnie wiosłującego Nicholasa, ale wyczekiwany dreszczyk podniecenia nie przebiegł mi po plecach.

Postanowiłam rozpocząć rozmowę. Muszę mu udowodnić, że jestem nie tylko piękna, lecz także inteligentna.

Organizatorzy pozwolili każdemu z nas wyjawić jedną poufną informację. Miałam zamiar działać zgodnie z ich poleceniem.

– Jeśli chcesz, to wyznam ci jedną z tajemnic Constance – szepnęłam, uwodzicielsko patrząc mu w oczy.

Po raz pierwszy odkąd znaleźliśmy się razem w łódce, oderwał wzrok od wiosła.

– Dobrze.

Upewniłam się, że pozostałe łódki znajdują się w bezpiecznej odległości. Nie tyle obawiałam się, że ktoś może poznać sekret Constance, ile chciałam, by Nicholas skupił się wyłącznie na mnie.

– Może to nic wielkiego, ale ja, to znaczy Constance planuje podróż do Indii. Zamierza pomagać biednym i potrzebującym, niestety jej brat Harry odmawia pomocy w sfinansowaniu podróży, więc całe przedsięwzięcie odbywa się w tajemnicy.

Nicholas zmarszczył czoło.

– Pewnie potrzebuje znacznej kwoty.

Przytaknęłam.

– Grupa misyjna zapewni jej utrzymanie na miejscu, ale koszty podróży musi pokryć we własnym zakresie.

– Chyba można to potraktować jako ewentualny motyw zbrodni – powiedział po chwili zastanowienia.

Powoli doganiała nas łódka Izzi i Adama. Wiosłuje szybko i bez najmniejszego wysiłku, pomyślałam, obserwując pochyloną sylwetkę.

Poczułam na czole kropelki potu.

– Jeśli dokucza ci słońce, możemy popłynąć w stronę zacienionego brzegu. Jak na brunetkę masz wyjątkowo jasną karnację.

Nie posiadałam się z zachwytu. Nie tylko wreszcie mnie zauważył, ale i okazał troskę.

– Byłoby cudownie. – W ten sposób mogłam uniknąć zgubnych skutków opalania, ale przede wszystkim znaleźć się w bezpiecznej odległości od innych łódek, szczególnie Marcusa i Louisy, którzy powoli zbliżali się do nas.

– Czemu Harry nie wyraża zgody na twoją podróż do Indii? – indagował Nicholas. – I co to może mieć wspólnego z morderstwem lorda Southerby’ego?

– Nie wiem. Próbowałam coś wyciągnąć od Adama, to znaczy mojego brata, ale odpowiadał niezwykle wymijająco.

Nicholas skinął głową.

– Mnie też nie udało się uzyskać od niego żadnych informacji. Jeśli coś wie, to musi być prawdziwa bomba.

– Sądzisz, że mógłby popełnić morderstwo?

– Czemu nie? Któż odważyłby się podejrzewać pastora? Tylko dlaczego? Brakuje mi motywu – zastanawiał się głośno Nicholas.

Próbowałam znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego mój brat miałby zabić bogatego wuja, ale na nerwy działał mi pewien drobny szczegół.

Wszystko toczyło się tak, że lepiej nie mogłam sobie wymarzyć, a jednak

cały czas brakowało mi dreszczyku podniecenia.

– Nie chciałbyś podwinąć rękawów koszuli? – spytałam bez większego zastanowienia.

– Słucham? – spytał wyraźnie zaskoczony.

Nie bardzo wiedziałam, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

– Musi ci być bardzo gorąco – wyjaśniłam z troską w głosie.

Po chwili zdjął lnianą marynarkę, starannie złożył i położył na ławce. Adam w podobnej sytuacji rzuciłby ją gdzie popadnie. Sama nie wiem, czemu złożona w kostkę marynarka trochę mnie drażniła.

W pobliżu coraz wyraźniej słychać było jakieś głosy. Wszystkie trzy łódki nadpływały w naszym kierunku. Ta z Marcusem i Louisą znajdowała się praktycznie na wyciągnięcie ręki.

– Słuchaj, Nick, dokucza mi kontuzjowany bark, a Louisa nawet nie chce dotknąć wiosła. Chyba czas skończyć tę głupią zabawę – marudził Marcus, czepiając się grubymi paluchami burty naszej łódki.

– Nie przesadzaj. Poradzisz sobie – zaproponowała Izzi, która akurat nadpłynęła z Adamem.

– Chyba że się zamienimy – odparł Marcus, pocierając podobno bolące ramię.

– Wtedy któraś z pań musiałaby wiosłować, a to chyba niemożliwe – odezwał się Nicholas.

Wszystkie trzy przez chwilę patrzyłyśmy na siebie w milczeniu.

– Ja nie umiem – pierwsza odezwała się Louisa.

– A ty, Izz? – Nicholas z nadzieją spojrział na siostrę.

– Chyba żartujesz. W tych wszystkich koronkach?

– Nie ma sprawy – wtrącił się Adam. – Coreen świetnie sobie poradzi, wiem, co mówię.

Miałam ochotę go zamordować, ale najpierw musiałabym dostać się do jego łodzi, a wtedy zamoczyłabym ubranie. Nie rozumiałam, do czego zmierzał. Przecież doskonale wiedział, na czym mi zależało.

Po chwili zdałam sobie sprawę, że wokół zapanowała martwa cisza, a pięć par oczu wpatruje się we mnie z nadzieją.

– Nie musisz, jeśli nie masz ochoty – powiedział Nicholas.

Czułam, że czeka na moją decyzję.

Wzruszyłam ramionami.

– Mogę się zamienić – zwróciłam się do Marcusa. Trudno, pomyślałam, nie będę na jednej łódce z Nicholasem, ale przynajmniej zaczął zwracać na mnie większą uwagę.

Kiedy Marcus i Nicholas przyciągnęli łódki do siebie na odległość kroku, Louisa bez słowa przeszła zgrabnie z jednej do drugiej. Uśmiechnęła się

promiennie do Nicholasa, ale ku mojemu zadowoleniu nie odwzajemnił uśmiechu. Cały czas patrzył ciepło na mnie. Czułam, że mu zaimponowałam.

– Przytrzymaj łódkę – zwrócił się do Marcusa.

Pierwszy raz w życiu byłam zadowolona, że występuję publicznie w butach na niskim obcasie. Pewnym ruchem ustawiłam prawą nogę w łódce Marcusa. Już miałam postawić lewą, niestety pech chciał, że w tym samym momencie Marcus zdecydował się na gimnastykę barku. Potracił jedno z wiosel, które natychmiast zadziało jak dźwignia. Łódki rozjechały się płynnym półkolistym ruchem.

Nietrudno domyślić się, że straciłam równowagę i wylądowałam za burtą.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nie mogę oderwać od Ciebie oczu

Refleksje Coreen

Numer 7. Z niechęcią przyznaję, że miło pomarzyć, ale czasem trzeba zaakceptować nagie fakty (szczególnie wyrażone w kilogramach).

Woda w stawie, który wydawał się tak romantyczny na pierwszy rzut oka, przy bliższym kontakcie okazała się obrzydliwa, zimna i mętna, i potwornie cuchnąca.

W mgnieniu oka miałam pełne usta i nos tej paskudnej brunatnej cieczy. Oślizgłe wodorosty owijały mi się wokół nóg.

Machałam rękami, desperacko usiłując wydostać się na powierzchnię. Uderzyłam dłonią w coś twardego. Wtedy zdałam sobie sprawę, że nad głową mam dno jednej z łodzi. Wpadłam w prawdziwą panikę. Miotalam się jak ryba w sieci. Kilka razy walnęłam głową w kadłub.

Coś złapało mnie wpół. Przerazona, powoli tracąc oddech, wierzgałam nogami na oślep. Nagle dłoń trafiła na coś miękkiego.

Nie byłam tu sama. Ktoś przybył mi na ratunek. Jakie to romantyczne. Wskoczył, żeby uratować mi życie, przemknęło mi przez głowę.

Uczepiłam się szyi wybawcy, ufna, że wkrótce wydostaniemy się na powierzchnię.

Powoli odzyskiwałam spokój, zaczynałam myśleć logicznie. Gdybym wiedziała, że właśnie dzięki takiej przygodzie znajdę się w jego ramionach, zaraz po przyjeździe do Inglewood Manor wskoczyłabym do tego bajora.

Dopiero teraz poczułam długo oczekiwany dreszczyk podniecenia. Przemoczona i zziębnięta tuliłam się do niego, grzejąc się w ciepłe jego oddechu. Czułam się absolutnie bezbronna, a jednocześnie bezpieczna w silnych męskich ramionach.

– Nic jej nie jest? – dobiegł głos z brzegu.

Należał do Nicholasa.

W mgnieniu oka zrozumiałam. Powinnam od razu się domyślić, ale widocznie byłam w szoku. Dobrze znałam to ramię, na którym w tej chwili opierałam głowę. Ale świadomość, że nie tulę się do Nicholasa, nie zmieniła moich odczuć.

– Coreen, wszystko w porządku? – Adam szepnął mi prosto do ucha.

Ciężko dyszał, ciągnąc mnie za sobą do brzegu. Zastanawiałam się, czy początkowo był równie przerażony jak ja. Uniosłam głowę, żeby spojrzeć na niego, ale ociekające wodą pasma włosów przesłaniały mi widok. Dostrzegłam jedynie blask determinacji w brązowych oczach.

Wreszcie odważyłam się poszukać stopą dna. Bez wysiłku natrafiłam na błotnisty grunt. Wstyd pomyśleć, że prawie utopiłam się w wodzie sięgającej mi ledwie po szyję.

Zastanawiałam się, jak spojrzę w oczy dryfującym przy brzegu przyjaciółom Izzi. Do tego gdzieś w mule zostały moje buty.

Rzuciłam Adamowi błagalne spojrzenie. Zrozumiał bez słów.

– Wracamy. – Nawet nie mrugnął powieką.

Wziął mnie na ręce, jakbym nic nie ważyła, i ruszył w kierunku brzegu.

Nie miałam pojęcia, w jaki sposób mu się to udało. Przecież moje apetyczne krągłości miały swoją wagę, nie wspominając o nasiąkniętym wodą wełnianym kostiumie.

Kiedy znaleźliśmy się na suchym lądzie, usiłowałam wysliznąć się z objęć Adama i stanąć na nogach.

– Zaniosę cię do Inglewood Manor. Jesteś boso – powiedział stanowczym tonem.

Trochę protestowałam, ale w głębi ducha byłam mu ogromnie wdzięczna.

Gdyby nie było mi go bardzo szkoda, to pewnie poczułabym się jak bohaterka powieści. Nieczęsto zachowuję się jak przysłowiowa mimoza, a prawie nigdy na poważnie.

Zastanawiałam się, czy pozostali dostrzegli w tym zdarzeniu choć nutkę romantyzmu. Rzuciłam ukradkowe spojrzenie w stronę Nicholasa. Byłam ciekawa, czy poczuł ukłucie zazdrości.

To dziwne, ale po raz pierwszy od niepamiętnego czasu nie westchnęłam głęboko na samo wspomnienie jego imienia. Zadawałam sobie pytanie, czemu to nie on rzucił mi się na ratunek. Był przecież znacznie bliżej miejsca katastrofy.

– Zrobiłam z siebie widowisko. Strasznie mi głupio – wymamrotałam Adamowi do ucha.

– Ty? To im powinno być głupio. – Zatrzymał się, żeby złapać oddech. – Louisa postąpiła samolubnie, a Marcus zachował się jak...

– Dupek? – podpowiedziałam.

– Właśnie. Sam nie ująłbym tego lepiej. – Roześmiał się. – Postaraj się dostrzec dobre strony tego zdarzenia.

Ciekawe jakie, westchnęłam w duchu. Byłam przemoczona do suchej nitki, nie pachniałam francuskimi perfumami – mówiąc najogólniej – i pragnęłam zapaść się ze wstydu pod ziemię.

– Po pierwsze, na dnie zostały okulary, chociaż osobiście bardzo tego żałuję. Po drugie, będziesz musiała pożegnać się z tym ubraniem.

– Jesteś genialny – zawołałam, szczerze uradowana.

Na wszelki wypadek wzięłam pełną walizkę zapasowych kostiumów. Przewidziałam, że ktoś może się pobrudzić albo gdzieś zaczepić i rozerwać

delikatny szef. Przypomniałam sobie o eleganckiej czerwonej sukience. Miała być strojem awaryjnym dla Louisy. Teraz ja zyskałam wiarygodny pretekst, żeby na dobre pożegnać się z paskudną garsonką.

Godzinę później, stając po szerokich dębowych schodach, czułam się najszcześliwszą osobą na świecie. Wstrętny zapach wodorostów zniknął. Teraz pachniałam ekskluzywnym szamponem i balsamem, które znalazłam w łazience przy moim pokoju. No i miałam na sobie boską czerwoną aksamitną sukienkę. Nie była to kreacja bez pleców, jak ta, którą z żalem przeznaczyłam dla Louisy, ale miała w sobie to coś. Tuż pod biustem przepasana była długą szarfą, dlatego korzystnie eksponowała dekolt.

Owszem, Constance pewnie nigdy nie ubrałaby się tak odważnie, ale po stresie na łódce zasługiwałam na strój, który poprawiał samopoczucie. Zresztą daleko mi było jeszcze do wyglądu wampa.

– Co ty na siebie włożyłaś? – zgasiła mój entuzjazm Izzi. Przyglądała mi się krytycznie z rękoma opartymi na biodrach.

– Śliczna, prawda? – Udawałam, że nie pojmuję jej oburzenia. – Nie martw się, pochodzi z epoki – dodałam.

Bez słowa złapała mnie za łokieć i poprowadziła do jakiegoś pokoiku na uboczu.

– Zupełnie nie pasuje do twojej roli – powiedziała sucho.

Podaliśmy kilka uzasadnionych argumentów, które całkowicie mnie usprawiedliwiały, ale zająknęłam się w pół zdania, kiedy Izzi opadła zrezygnowana na kanapę.

– Właściwie to bez znaczenia – wymamrotała. – I tak mało kto wczuwa się w swoją postać. Cała ta impreza to absolutna porażka.

Chciałam zaprzeczyć, przekonać ją, że wszyscy robili, co było w ich mocy, ale tak naprawdę to Izzi miała rację.

Na przykład ja. Obchodziło mnie rozwikłanie zagadki morderstwa lorda Southerby'ego o tyle, o ile mogło mi pomóc w realizacji własnych planów związanych z Nicholasem. Nawet nie zastanawiałam się, czego oczekuje ode mnie Izzi.

Izzi machnęła ręką.

– Spójrz, wszędzie podrzucili oczywiste poszlaki – powiedziała, wskazując palcem kopertę zaadresowaną do lorda Southerby'ego leżącą w widocznym miejscu na blacie biurka. Myślisz, że do tej pory ktoś odkrył chociaż jeden motyw zbrodni?

Oczy Izzi zaszkliły się łzami. Byłam w absolutnym szoku, bo nigdy dotąd nie widziałam jej w takim stanie. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że ktoś taki jak ona potrafi płakać.

Siedziałam na brzegu krzesła, czekając, kiedy dopuści mnie do głosu.

– Przecież poza rozwiązaniem zagadki wszyscy mają się dobrze bawić. Po to ich zaprosiłaś, prawda?

– Tak – zgodziła się, coraz bardziej przygnębiona. – Ale jak to będzie wyglądało, kiedy wrócą do Londynu i powiedzą, że brali udział w nudnym przyjęciu tematycznym, gdzie motywem przewodnim było rozwikłanie zagadki kryminalnej, która nie została wyjaśniona?

Przełknęłam ślinę. Rozumiałam, o co jej chodzi.

– Coreen, nie jestem taka jak ty – zaczęła znużonym tonem.

Już miałam jej przerwać, że nie ma czego żałować, ale nie dała mi dojść do głosu.

– Skończyłam dwadzieścia sześć lat. Nie mam żadnych konkretnych kwalifikacji zawodowych. Nie nadaję się do prowadzenia biznesu jak ty. Wszystko co mam, to opinia, że organizuję najlepsze spotkania towarzyskie w całej południowo-wschodniej Anglii. Jeśli ten weekend nie wypali, mogę się pożegnać ze swoją reputacją. – Przeszła machinalnie obracać w dłoniach kopertę i odłożyła na biurko. – Masz szczęście, że nie żyjesz w moim świecie – kontynuowała z westchnieniem. – To dżungla, gdzie pierwsze potknięcie jest ostatnim. Wtedy cię pożrą żywcem, żeby zająć twoje miejsce. Bez pozycji będę nikim. – Westchnęła. – Do niczego się nie nadaję, ale przynajmniej w jednym byłam najlepsza. – Uśmiechnęła się z przymusem. – Rozumiesz, o co mi chodzi?

Skinęłam głową i podniosłam się z krzesła.

– Dokąd idziesz?

– Na górę, przebrać się – odpowiedziałam. – Kiedy wrócę, wspólnie postaramy się, żeby wykryli mordercę. No i zapewniam cię, będą bawić się tak świetnie jak nigdy dotąd.

Kolejny raz wpatrywali się we mnie zaskoczeni. Może z powodu wstrętnej beżowej sukienki w kwiaty, którą w pośpiechu włożyłam. Ale też z uwagą słuchali tego, co miałam do powiedzenia. Nieco mentorskim tonem, który pasował jak ulał do charakteru Constance, poleciłam, żeby trochę wysilili szare komórki i spróbowali szybko wykryć mordercę. Sprawilo mi to ogromną frajdę. Wreszcie zostałam potraktowana poważnie.

Nicholas uśmiechał się, a Adam patrzył, jakby był ze mnie dumny.

– Jeśli rzeczywiście zabójca zostawił ślady, przejdźmy się po tym ponurym starym domu, może natrafimy na coś ciekawego – odezwał się Nicholas, wstając z miejsca.

Pozostali odstawili drinki i ruszyli w ślad za nim. Przechodząc, Nicholas położył mi delikatnie dłoń na ramieniu.

– Dobra robota. Gratuluje. Obawiałem się, że ten weekend to strata czasu, ale zaczynam się dobrze bawić.

Stałam z otwartymi ze zdziwienia ustami. Tak szeroko, że nie było to nawet

uwodzicielskie.

Nicholas Chatterton-Jones dotknął mnie z własnej, nieprzymuszonej woli. Cuda się jednak zdarzają, pomyślałam.

Izzi ogłosiła, że do kolacji będą obowiązywać wieczorowe stroje. Po godzinie spędzonej na omawianiu potencjalnych motywów zbrodni, wszyscy poszli się przebrać.

Wychodząc z pokoju, natknęłam się na Adama. Kolejny raz dotarło do mnie, że doskonale wygląda bez względu na to, w co jest ubrany. Wieczorowy garnitur leżał na nim jak ulał. Z wrażenia aż zaschło mi w ustach.

– Czy to sypialnia lorda Southerby’ego? – spytał, wskazując drzwi do jednego z pokoi.

– Nie, następny – wyjaśniłam.

Nie wszystkie pomieszczenia w Inglewood Manor zostały zaaranżowane dla celów weekendowej zabawy. Na szczęście niektóre zamknięto. W przeciwnym wypadku szukanie poszlak na terenie ogromnego, pełnego zakamarków domu byłoby praktycznie niemożliwe.

– Zajrzymy, co się tam kryje? – spytał z niewinnym uśmiechem.

Dotknęłam jego dłoni i natychmiast cofnęłam rękę. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Zawsze byliśmy sobie bardzo bliscy. Dotykaliśmy się odruchowo, bez żadnych podtekstów, po przyjacielsku. Tym razem odniosłam wrażenie, że przekroczyłam jakąś niewidzialną granicę.

Zapanowała pełna napięcia cisza. Adam stał z dłonią na klamce, ja tuż obok.

– Miałaś się przebrać – powiedział.

– Właśnie to zrobiłam.

Włożyłam prostą kremową suknię. Oczywiście nie można było jej nawet porównać z czerwonym cudem, które zostało w szafie. Ta miała okrągły kołnierzyk, bufiaste rękawy i malutkie, obszyte materiałem ozdobne guziczki zapięte pod szyję.

Adam stał w otwartych drzwiach do sypialni lorda Southerby’ego i przyglądał mi się uważnie, milcząc. Jakby chciał przedrzeć się w głąb i dotrzeć do moich najskrytszych myśli i odczuć.

Czując cały czas na sobie jego wzrok, zaczęłam metodycznie przeszukiwać pokój.

Bez większego trudu odkryliśmy w pustej szafce nocnej poząłkłą, starannie złożoną kartkę papieru. Dokument wyglądał na akt urodzenia.

– To mój, czyli Constance! – zawołałam podniecona. – Puste miejsce w rubryce na wpisanie nazwiska ojca. Czy moje podejrzenia okażą się prawdziwe?

Adam wyjął mi z dłoni kartkę. Nasze palce się spotkały. I to nie przypadkowo. Dotknęłam go celowo. Z wyrazu jego twarzy wyczytałam, że i on zrobił to z pełną świadomością. Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy sobie znacząco

w oczy. Gdyby to był ktoś inny, mogłabym przysiąc, że za chwilę pocałuje mnie w usta. A ja nie miałabym nic przeciwko.

Adam pierwszy skierował wzrok na stary dokument.

– Musimy znaleźć odpowiedź na pytanie, nie tylko dlaczego brak nazwiska ojca, ale w pierwszym rzędzie dlaczego odpis twojego aktu urodzenia znalazł się w pokoju lorda Southerby’ego.

Nie bardzo mogłam zebrać myśli. Od wypadku na łódce czułam się, jakbym nagle znalazła się w innym świecie. Podobnym do poprzedniego, ale wszystko wydawało się w nim przewrócone do góry nogami.

Próbowałam jakoś uporządkować nowe informacje, kiedy rozległ się gong wzywający na kolację. Zaraz potem dały się słyszeć odgłosy kroków i gwar rozmów gości udających się na dół do jadalni.

– Chyba znalazłam motyw – powiedziałam, składając we czworo dokument.
– Zbliża się czas, żeby to wykorzystać.

– Chodźmy zobaczyć, jak poszło innym. – Adam uniósł moją dłoń i musnął ustami.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nareszcie

Refleksje Coreen

Numer 8. Rzadko śpiewam, a nigdy publicznie.

W czasie kolacji siedzieliśmy przy przeciwległych końcach stołu. Może to i lepiej. Przecież obiecałam Izzi, że zaangażuję się w śledztwo, a uporczywie powracające myśli na temat Adama tylko rozpraszały moją uwagę. Jak na mnie patrzył, jak wziął za rękę, jak musnął ustami dłoń. Gdyby siedział obok, zupełnie nie byłabym w stanie myśleć o niczym innym. Miałam wrażenie, że to ten sam Adam, a jednocześnie ktoś inny. Tego dawnego znałam od dziecka, obserwowałam, jak wyrasta na interesującego i przystojnego mężczyznę. Nowy Adam był dla mnie zupełnie nieprzewidywalny.

Zanim podano drugie danie, stół jadalny spełniał rolę prawdziwego centrum dochodzenia. Na śnieżnobiałym obrusie leżały stare listy miłosne, kopia testamentu lorda Southerby'ego i plastikowy rewolwer. A to wszystko wśród zastawy z wykwintnej porcelany, kryształowych kieliszków i srebrnych sztućców.

Aktywnie uczestniczyłam w analizowaniu motywów i często zabierałam głos. Ukradkowo obserwowałam Adama. Komuś, kto go nie znał, mógł wydawać się niezmiernie poważny, ale ja dostrzegałam isierki uśmiechu w ciepłych oczach o barwie rozpuszczającej się w słońcu czekolady. Ten uśmiech adresowany był wyłącznie do mnie. A ja nie wiedziałam, czy mnie to cieszy, czy nie. Nie wiedziałam, czy jestem wystarczająco odważna, żeby przyznać się przed sobą, co ten uśmiech może oznaczać.

Unikałam odpowiedzi na to i inne pytania, kierując całą uwagę na toczące się przy stole śledztwo. Nie udało się nam jeszcze wysnuć najważniejszych, rozstrzygających wniosków, ale jedno było pewne. Za życia lord Southerby z całą pewnością nie był wzorem cnót.

Obaj synowie mieli powody do niepokoju o spadek. Zagrożeniem dla nich mógł być potomek z nieprawego łoża.

Praktycznie każdy z nas miał powód, by pragnąć śmierci lorda. Motywem mogła być zazdrość, żądza zysku, zemsta, a nawet troska o bliskich. Szczerze mówiąc, cała intryga zaczęła wszystkich wciągać.

Po deserze, podanym w salonie, nadal rozważaliśmy różne teorie. Podzieliliśmy się na dwa obozy. Jedni obstawali, że Rupert zamordował ojca w obawie, że ten zmieni testament na jego niekorzyść. Druga grupa podejrzewała, że tego czynu dopuściła się pokojówka Ruby. Biedna dziewczyna od miesięcy odrzucała obleśne zaloty starego capa, a morderstwo było desperackim aktem obrony honoru i cnoty.

Izzi obserwowała przebieg wieczoru z uśmiechem zadowolenia.

Właśnie przysłuchiwała się wymianie zdań pomiędzy Marcusem i Jos. Zastanawiał się, jak wytłumaczyć fakt, że muszka należąca do lorda Southerby'ego znalazła się w części posiadłości przeznaczonych dla służby. Kiedy Jos zaczęła całkiem poważnie oskarżać Marcusa o zniesławienie, Izzi wkroczyła do akcji.

– Może zagrasz coś, Jules – zasugerowała, wskazując ruchem głowy fortepian. – Powinniśmy odreagować stres. Jestem pewna, że przypomnisz sobie jakiś kawałek z epoki.

Julian poderwał się ochoczo z miejsca.

– Przećwiczyłem kilka specjalnie na tę okazję.

Izzi stuknęła laską w podłogę.

– Nie widzę w tym nic niestosownego, żeby młodzi zatańczyli fokstrota, czy co tam jest teraz modne – oznajmiła. – Możemy odsunąć kanapy i zrobić miejsce. Ruszcie się, panowie.

Julian zaczął od Cole'a Portera i Irvinga Berlina. To były ulubione melodie mojej mamy. Po jej śmierci nie mogłam ich słuchać. Wspomnienia były zbyt bolesne. Teraz też początkowo aż się wzdrygnęłam, ale po chwili dziwny uścisk w gardle ustąpił. Może czas uleczył rany, a może rola Constance pomogła mi zachować odpowiedni dystans. W każdym razie poczułam się, jakby odwiedzili mnie dawni przyjaciele. Przypomniałam sobie te rzadkie momenty, kiedy mama śpiewała z uśmiechem niewypowiedzianego szczęścia na twarzy. Bezwiednie zaczęłam nucić pod nosem i wystukiwać palcem rytm na oparciu kanapy.

Marcus, który przez cały wieczór usiłował uleczyć ból barku winem z zasobnej piwnicy Inglewood Manor, wtórował mi głośno. Początkowo starałam się nie zwracać na niego uwagi, ale tak fałszował, że coraz trudniej było mi zachować spokój.

– Wspominałaś kiedyś, że twoja mama była piosenkarką. – Izzi obróciła głowę w moją stronę. – Zrobisz wszystkim wielką przysługę, jeśli zastąpisz Marcusa.

– Całkiem nieźle mi idzie – oburzył się Marcus, pociągając spory łyk czerwonego wina i taksując mnie wzrokiem. – Ale jeśli ta dama robi to lepiej, z przyjemnością posłucham.

Potrząsnęłam przecząco głową.

– To nie przystoi siostrze pastora i przyszłej misjonarce – odpowiedziałam z niewinnym uśmiechem. Miałam nadzieję, że zostawią mnie w spokoju. Nucenie pod nosem to zupełnie inna sprawa niż występ nawet przed tak nieliczną publicznością.

Marcus zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Udawaj, że śpiewasz hymn narodowy – poradził z kpiącym uśmieszkiem. Kusilo mnie, żeby mu porządnie przemówić do słuchu, tak przynajmniej

zrobiłaby Coreen, ale wczułam się w postać Constance. No i nie chciałam zepsuć wymarzonego wieczoru Izzi, szczególnie teraz, kiedy wszystko tak dobrze się rozwijało i wieczór zaczął nabierać tempa.

Constance Michaels może i była nieobytą w świecie dwudziestoletnią dziewczyną, ale planowała udać się do dalekiego kraju, nie znając nawet języka. Była gotowa żyć w trudnych warunkach i zwalczać nędzę. Okazała się o wiele odważniejsza ode mnie.

Z trudem próbowałam opanować paraliżującą każdy ruch treść. Powtarzałam sobie, że tak naprawdę usłyszy mnie tylko Marcus, Julian i Izzi. Pozostała czwórka sączyła poobiednie drinki na tarasie.

Podeszłam do fortepianu i przymknęłam oczy. Zanim zdążyłam się zorientować, zaczęłam śpiewać.

W przeciwieństwie do mamy nie miałam praktyki i wykształcenia muzycznego, ale odziedziczyłam jej czysty silny głos. Zawsze starałam się być jej przeciwieństwem. Teraz powtarzałam słowa piosenki, które tak często płynęły z jej ust, i poczułam jej obecność. I wcale mnie to nie przeraziło ani nie zdenerwowało. Ogarnęła mnie fala ciepłych wspomnień.

Przypomniałam sobie, jak była szczęśliwa, zanim odszedł od niej mój ojciec. Z jaką miłością na niego patrzyła. Wydawało mi się, że w tym momencie rozumiałam ją jak nigdy dotąd.

Przy drugiej zwrotce nabrałam odwagi i otworzyłam oczy. Nie był to dobry pomysł. Adam, Jos, Nicholas i Louisa stali w otwartych drzwiach tarasu i przysłuchiwali się z wyraźnym zainteresowaniem. Miałam wrażenie, że się zaraz przewrócę albo z wrażenia zapomnę słów piosenki, ale nic takiego nie nastąpiło.

Kiedy śpiewałam o spotkaniu tego jedyne, o nagłym olśnieniu i wielkiej miłości, odważyłam się nawet spojrzeć w ich stronę.

Na twarzy Nicholasa ujrzałam coś, o czym w skrytości ducha długo marzyłam. Zamierzałam wytrzymać jego spojrzenie, ale bezwiednie przesuwałam wzrok, aż zatrzymał się na długo w miejscu. Patrzyłam jak zahipnotyzowana w piwne oczy Adama. Wzięłam zbyt wysoko ton, ale na szczęście nikt się nie zorientował. Kontynuowałam mocnym czystym głosem.

Śpiewałam o uśmiechu, a on się do mnie uśmiechał. O magii miłości, i coś magicznego dostrzegłam w jego oczach.

Julian zdjął dłonie z klawiatury. Melodia się skończyła. Stałam oparta o fortepian. Jak przez mgłę słyszałam głośnie brawa.

Izzi wstała z fotela.

– To był piękny występ, a teraz nadszedł czas na tańce. – Skinęła głową w kierunku Roberta, wskazując gramofon.

Julian, pokonując wrodzoną nieśmiałość, podziękował mi pocałunkiem w policzek.

Nicholas podszedł do mnie.

– Uczynisz mi ten zaszczyt? – spytał, zapraszając do tańca.

Skinęłam bez słowa i pozwoliłam poprowadzić się na zaaranżowany parkiet. Moje marzenia spełniały się jedno po drugim. Nicholas Chatterton-Jones objął mnie delikatnie. Znalazłam się w miejscu, w którym od dawna chciałam być.

Czy aby na pewno? – przemknęło mi przez głowę.

Tańczył doskonale, patrzył mi oczy, uśmiechał się. Cały czas zabawiał rozmową. Wszystko przebiegało bez zarzutu. Wręcz perfekcyjnie.

Tylko...

Taniec z Nicholasem nie był dla mnie spełnieniem marzeń, raczej pewnym wysiłkiem. Z zaskoczeniem przyznałam w duchu, że nawet nie czułam gorzkiego rozczarowania. Dręczyła mnie uporczywa myśl. Powinnam być zupełnie gdzie indziej i robić coś zupełnie innego. Właściwie byłam wdzięczna Louisie, kiedy przy następnej melodii porwała Nicholasa dla siebie.

Czułam za plecami obecność Adama. Kiedy się obróciłam, wpadłam mu w ramiona. Wiedziałam, że oboje czekaliśmy na ten moment.

– Nie miałem pojęcia, że umiesz śpiewać – szepnął mi prosto do ucha. Po plecach przebiegł mi gorący dreszcz.

– Widocznie nie tylko ty masz ukryte tajemnice – odparłam, nie dając nic po sobie poznać.

Adam nie uśmiechał się do mnie w tańcu. Praktycznie nic nie mówił. Zresztą i tak pewnie nie dotarłyby do mnie żadne słowa.

Działo się ze mną coś dziwnego, co bałam się nazwać. Kiedy rozległy się dźwięki wolniejszej, sentymentalnej piosenki, oparłam głowę na jego ramieniu i przymknęłam oczy.

Nie mam pojęcia, jak długo kołysaliśmy się w takt muzyki, przytuleni do siebie. Poczułam lekki podmuch wiatru, uchyliłam powieki. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że jakimś cudem znaleźliśmy się na oświetlonym blaskiem księżyca tarasie. Nie wiem, czy na chwilę zatrzymaliśmy się w tańcu.

Adam patrzył na mnie w taki szczególny sposób. Z wielką czułością. Wyczytałam w jego wzroku jeszcze coś więcej. Dławiło mnie niewypowiedziane wzruszenie. Jakby nagle otwały się przede mną na oścież dotąd szczelnie zamknięte drzwi.

Adam dotykał delikatnie mojej twarzy, gładził po włosach. Wiedziałam, co za chwilę nastąpi, a jednak zdawało mi się, że to wszystko dzieje się w innym, nierealnym świecie. Zastygłam w bezruchu.

Ujął moją głowę w dłonie i nasze wargi na moment się spotkały. Straciłam poczucie czasu i miejsca.

I właśnie dlatego po chwili odsunęłam się od niego. Nie dopuszczałam do siebie myśli, co ten pocałunek mógł oznaczać, choć w głębi serca wiedziałam. To

było tak, jakby walczyły we mnie dwie osobowości. Musiałam jedną zagłuszyć, żeby później uniknąć bólu i cierpienia.

Adam przyglądał mi się uważnie.

– Chciałaś, żeby zobaczył. – Jego głos zabrzmiał dziwnie obco.

Nawet nie próbowałam z nim dyskutować, oszołomiona pocałunkami, jakich nigdy dotąd nie doświadczyłam. Poza tym podświadomie zostawiałam sobie jeszcze możliwość ucieczki, tyle że nie wiedziałam dokąd i po co, ale tak mi podpowiadał instynkt samozachowawczy.

Adam cofnął się o krok.

– Sądziłem, że już z tego dawno wyrosłaś, Coreen. A jeśli nie, to możemy odegrać prawdziwy spektakl.

Tym razem nie było delikatnego głaskania po twarzy. Przytrzymał mnie w mocnym uścisku, a pocałunki były namiętne i gwałtowne. Kiedy ochłonęłam z pierwszego wrażenia, złapałam go za szyję i odpłacałam pięknym za nadobne. Zdawało się, że mam wszystko pod kontrolą, przynajmniej do momentu, kiedy Adam wyswobodził się z moich objęć.

Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Gdzie się podział wiecznie uśmiechnięty przyjaciel, z którym zawsze czułam się bezpiecznie? Adam, jakiego do tej pory nie znałam, potrafił rozpalić mnie do czerwoności swoimi pocałunkami, a jednocześnie patrzył na mnie z niesmakiem.

– Ale ze mnie idiota. Niebywałe, a podobno z wiekiem stajemy się coraz mądrzejsi. – Cofnął się parę kroków. – To dopiero było przedstawienie, panno Fraser. Rzeczywiście jesteś zdesperowana i marzysz, żeby zwrócił na ciebie uwagę. – Obrócił się na pięcie i ruszył przed siebie. Zeskoczył z tarasu i znikł za rogiem domu.

– Adam, Adam! – Usiłowałam go dogonić. W ciemności ledwie mogłam dostrzec zarys sylwetki.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie znużonym wzrokiem.

– Czego chcesz?

Serce waliło mi mocno w piersi. Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Działałam pod wpływem impulsu, bez żadnego z góry założonego planu. Zdarzyło mi się to chyba po raz pierwszy w relacjach damsko-męskich.

Zarzuciłam mu ręce na szyję i pocałowałam go w usta. Tym razem nie zamierzałam na nikim zrobić wrażenia ani wzbudzić niczyjej zazdrości.

Przewracałam się z boku na bok, ubrana w jedwabną piżamę ozdobioną przy szyi piękną koronką. Zgoda, to nie był strój w stylu Constance, ale uznałam, że przynajmniej w zaciszu sypialni mogę sobie wynagrodzić wszystkie wyrzeczenia i wyglądać wytwornie.

Byłam sama, ale nie miałam pewności, czy nadal tego chcę. Myśl, że mogę kogoś potrzebować, była dla mnie przerażająca.

Adam to mój najlepszy kumpel i przyjaciel. Czy mogło być między nami coś więcej? – zastanawiałam się. A jeśli tak, czy przekreśliłoby to naszą przyjaźń? Nie miałam pewności, czy jestem gotowa podjąć takie ryzyko. Z drugiej strony po tym, co zdarzyło się tego wieczoru, nie wiedziałam, czy będę w stanie udawać, że wszystko jest jak dawniej.

Gdybym wcześniej wiedziała, że Adam potrafi tak namiętnie całować, może sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej.

Miotalam się w pościeli, bezradnie miętosząc poduszkę, wcale nie dlatego, że łóżko było niewygodne. Wręcz przeciwnie, nigdy nie miałam bardziej komfortowego posłania.

Nagle coś sobie przypomniałam. Przyjęcie z okazji osiemnastych urodzin Sharon Everidge. W tym czasie akurat wpadł mi w oko Tom Morrison, najprzystojniejszy chłopak w całej szkole, który udawał, że mnie nie dostrzega. Wtedy zdesperowana złapałam za rękę Adama, wyciągnęłam na parkiet i zaczęłam całować, żeby wzbudzić zazdrość Toma. O ile pamiętam, nie sprawiło mi to przykrości. No i osiągnęłam cel. Tom zaprosił mnie do następnego tańca, gdy tylko wzburzony Adam wybiegł z pokoju.

Zaczerwieniłam się ze wstydu nie tylko na samo wspomnienie tamtego zdarzenia, lecz także ze względu na motywy mojego postępowania. Wmawiałam sobie, że Adam zrozumie, bo jest moim przyjacielem i pragnie mojego szczęścia. Zresztą nie przesadzajmy, to był tylko pocałunek.

Jak mogłam nie dostrzec, że nasza przyjaźń miała szansę przekształcić się w coś więcej? Jak mogłam być taka głupia? Właściwie to tylko udawałam, że niczego nie zauważam. Powtarzałam sobie, że nic się między nami nie zmieniło i nigdy nie zmieni. Wreszcie sama w to uwierzyłam.

To właśnie tego wieczoru, kiedy tańczyłam z Tomem Morrisonem, postawiłam kropkę nad „i”. Odrzuciłam coś ważnego. Podświadomie obawiałam się, że ta droga może być zbyt niebezpieczna, więc na dobre z niej zboczyłam.

A Adam mi na to pozwolił.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ciało i dusza

Refleksje Coreen

Numer 9. Babcia mówi, że nie dostrzegamy tego, czego nie chcemy widzieć. Nie mam pojęcia, dlaczego nieustannie mi to powtarza.

Obudziłam się z podkrążonymi z niewyspania oczami. Myśli, które nie dawały mi zasnąć, nadal kłębiły się w głowie.

Same znaki zapytania. Czy już przed laty Adam zdawał sobie sprawę, że nie powinniśmy się angażować uczuciowo? Czy świadomie kroczył tą drogą, którą i ja wybrałam? Czy historia zatoczyła koło?

Rozległ się gong wzywający na śniadanie. Musiałam wszystkie rozważania odłożyć na później. Zostało mi niewiele czasu, żeby się ogarnąć.

Założyłam bezkształtną beżową sukienkę w kwiaty i workowaty rozpinany sweter. Niespecjalnie bolałam nad brakiem pantofli na dziesięciocentymetrowych szpilkach, a o błyszczycy na usta zupełnie zapomniałam.

Przy śniadaniu nie miałam apetytu i z trudem trzymałam się w roli Constance. Według scenariusza Adam był moim bratem, lecz wystarczyło jedno spojrzenie, a moje uczucia wobec niego dalekie były od siostrzanych.

W jego oczach wyczytałam, że też ostro zmagął się ze sobą, ale jemu wychodziło to znacznie lepiej. Opróżnił talerz i prowadził rozmowę z uśmiechem na ustach.

Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że z pewnym rozbawieniem obserwuje, w jak podłym jestem nastroju.

Kolejna godzina okazała się dla mnie torturą. Izzi poleciała nam jeszcze raz przeszukać Inglewood Manor, bo nie wszystkie dowody zostały odkryte. Wreszcie wykluczaliśmy z grona podejrzanych Ruby i polującą na majątek narzeczoną starszego brata. Wyszuliśmy natomiast hipotezę, że to lady Southerby mogła zabić niewiernego męża, obawiając się zmian w jego testamencie. Wtedy jej dwaj ukochani synowie pozostaliby z niczym. Kolejnym potencjalnym zabójcą był przyjaciel Ruperta, potajemnie zakochany w jego narzeczonej. Kiedy zgasło światło, teoretycznie mógł zaatakować niewłaściwą osobę.

Izzi tak rozstawiała nas po kątach, że nie miałam okazji porozmawiać na osobności z Adamem. Kiedy pojawiał się w zasięgu wzroku, nie mogłam od niego oderwać oczu, a i on wpatrywał się we mnie. Zamieniliśmy zaledwie kilka słów jako Constance i Harry.

– Uwaga – zawołała Izzi rozkazującym tonem. – Znaleziony testament został sfalszowany. Prawdziwy jest schowany gdzieś na terenie posiadłości. Proponuję zajrzeć do oranżerii.

Ruszyłam za nią bez słowa. Im szybciej zdemaskujemy mordercę, tym szybciej będę mogła pogadać z Adamem, a przynajmniej zastanowić się, czy taka rozmowa ma w ogóle sens.

Pozostali podążyli naszym śladem. Mijaliśmy bibliotekę i korytarz prowadzący do oranżerii rozmiarów boiska do piłki nożnej, kiedy ktoś mocno złapał mnie za rękę. Pociągnął do tyłu i znalazłam się w kompletnej ciemności.

Wzdłuż korytarza znajdowało się kilka pomieszczeń gospodarczych, a my znaleźliśmy się w jednym z nich. Tak ciemnym i ciasnym, że nie sposób było się swobodnie obrócić. Jakaś półka uwierała mnie w bok, a noga opierała się o coś, co przypominało kształtem worek ziemniaków.

– Adam, to ty? – szepnęłam.

Kiedy jego usta znalazły się na moich wargach, nie miałam już najmniejszych wątpliwości. Złapałam go za klapy marynarki i przyłgnęłam do niego całym ciałem. Ogarnięci pragnieniem, zatraciliśmy się w namiętnych pocałunkach.

– Adam, co my robimy? – spytałam cicho, kiedy trochę ochłonęłam. Nadal mówiłam przyciszonym tonem, choć reszta grupy dawno już dotarła do oranżerii.

– Zaraz ci wytłumaczę. – Przypieczętował te słowa serią gorących pocałunków.

– Constance? Harry?

Zamarliśmy w bezruchu. To był głos Izzi. Właśnie przeszła tuż obok, szukając nas.

Kiedy umilkł odgłos kroków, uśmiechnęłam się do niego porozumiewawczo i po chwili znowu znalazłam się w mocnych męskich ramionach. Przytulił mnie. Czułam przyspieszone bicie jego serca i oddech na twarzy.

– Nadszedł czas, żeby zdradzić sekret. Ukrywałem go przez wiele lat.

Chyba nie ożenił się potajemnie ani nie cierpi na nieuleczalną chorobę, przemknęło mi przez głowę. Ani jednego, ani drugiego nie byłabym w stanie znieść.

– Co to za tajemnica? – wyjąkałam.

– To ty, Coreen.

Otworzyłam szeroko usta, ale nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa. Wyznanie Adama bardziej mnie przeraziło, niż gdyby stwierdził, że to tylko przelotny romans.

W popłochu zastanawiałam się, jak mam zareagować. Z kłopotu wybawił mnie oślepiający snop światła. Zamrugalam gwałtownie, przysłaniając oczy dłonią. W drzwiach stał Robert, oburącz dzierżąc słoje sosu pomidorowego.

Widząc nas splecionych w namiętym uścisku, uniósł wysoko brwi.

– Przepraszam – zwrócił się do mnie, stawiając słoik na półce tuż za moimi plecami. – Nic nie widziałem – kontynuował, wycofując się – ale chciałem ostrzec,

że panna Isabella szukała państwa. Zostawię uchylone drzwi, żebyście zdążyli... trochę się ogarnąć.

Właśnie poprawiałam rozpadający się kok, kiedy w korytarzu zadudnił głos należący do kogoś innego.

– Robert, znowu gadasz do ogórków konserwowych, a może do powideł? Nie trzeba było podczas gotowania degustować tyle sherry. – Głośny wybuch śmiechu, jaki nastąpił po tych słowach, nie zostawiał najmniejszych wątpliwości. Oto nadchodził Marcus.

Tym razem strumień światła nas nie zaskoczył. Staliśmy w bezpiecznej odległości, na tyle, na ile było to możliwe w zatłoczonej spiżarni. Na niewiele to się zdało. Marcus wywnioskował sporo z naszych min, nie wspominając już, że nasza obecność w ciemnej spiżarni była wystarczająco podejrzana.

– Proszę, proszę – zaczął, przyglądając się nam uważnie.

Usiłowałam wytrzymać jego spojrzenie, hardo unosząc podbródek.

– Brat z siostrą. Jakie to cudownie perwersyjne.

– Jesteśmy rodzeństwem tylko na potrzeby scenariusza – warknął Adam, ze złym błyskiem w oczach.

Dębowy las na obrzeżach posiadłości Inglewood Manor przecinały liczne słoneczne polany. Panująca tu cisza w innej sytuacji działałaby mi trochę na nerwy. Szliśmy obok siebie. Pod stopami szeleściły suche liście i trzaskały szyszki.

To był ten sam las, przez który Izzi przegoniła nas wczoraj. Tyle że wtedy byłam zbyt zajęta myślami o Nicholasie, toteż nie zwróciłam najmniejszej uwagi na piękno przyrody. Pozwoliłam sobie na filozoficzne stwierdzenie, że nie była to jedyna rzecz, która mi umknęła, kiedy szłam przebojem przez życie.

Praktycznie nie mogłam oderwać wzroku od Adama. Wydawał się zarazem taki znajomy, a równocześnie zupełnie obcy. Dostrzegałam szczegóły, które dotąd umykały mojej uwadze. Sposób, w jaki się poruszał, seksowne dołeczki w policzkach, kiedy się uśmiechał, a uśmiech skierowany był do mnie.

Dlaczego tego wcześniej nie widziałam? Dlaczego wręcz zabraniałam sobie to wszystko dojrzeć? Chociaż te pytania nie dawały mi spokoju, nie umiałam znaleźć na nie odpowiedzi.

– To mnie trochę przeraża. Wszystko przyszło tak nagle.

Adam ścisnął mnie mocno za rękę.

– Coreen, wiem, ile w życiu wycierpiałas – powiedział, patrząc na mnie ciepło.

Odwróciłam głowę. Zbierało mi się na płacz. Nigdy, przenigdy nie płakałam przy ludziach. Owszem, zdarzało mi się uronić kilka łez, kiedy chciałam coś przez to osiągnąć. Potrafiłam utrzymać emocje na wodzy.

Słuchałam Adama ze wzrokiem utkwionym w najbliższy krzak jałowca.

– Rozumiem, dlaczego boisz się zaangażować w poważny związek albo

zrywasz, kiedy przestaje być letni, a staje się gorący.

Wolałabym, żeby nie czytał w moich myślach jak z otwartej książki. Dla Adama nie byłam ani tajemnicza, ani nieprzewidywalna. Te dwie cechy pozwalały mi sterować facetami tak, jak chciałam, podczas gdy sama twardo stąpałam po ziemi w pantoflach na niebotycznych obcasach. To niesprawiedliwe, pomyślałam. On wiedział o mnie wszystko, a ja nie znałam nawet najbardziej oczywistych faktów.

Odwróciłam głowę, ale tym razem z uporem wpatrywałam się w guzik jego koszuli.

– Dobrze postępujemy? – spytałam. – To, co robimy, może zniszczyć naszą przyjaźń.

Ujął moją twarz w dłonie.

– Zbyt długo uciekaliśmy od tego tematu, Coreen. Chcę być twoim przyjacielem, ale chcę też czegoś więcej. Przestałem to wypierać ze świadomości. Nie będę dłużej udawać, że zależy mi wyłącznie na twojej przyjaźni. Nie prosz mnie o to, na pewno nie posłucham.

W pierwszej chwili chciałam zastosować strategię, do jakiej zawsze uciekałam się w podobnych sytuacjach. Wypracowałam cały arsenał takich zachowań. Na przykład posyłałam nieszczęśnikowi całusa i oddalałam się bez słowa, zalotnie kręcąc biodrami. Tyle że siła jego wyznania rozbroiła mnie, dosłownie i w przenośni. Jedynym orężem, jakie mi pozostało, była absolutna szczerść.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza.

– Myślę, że nie jestem jeszcze gotowa.

Objął mnie ramieniem. Nawet w stroju pastora wyglądał cudownie i tak też pachniał. Oparłam policzek na jego piersi.

– Nie dowiesz się, zanim nie spróbujesz. Może jesteś gotowa na więcej, niż przypuszczasz?

– Skąd wiesz, skoro ja tego nie wiem? – Lekko się nadałam.

– Kiedy wzdychałaś do Nicholasa, wiedziałem, że to coś poważniejszego niż chwilowe zauroczenie. Wtedy dotarło do mnie z wielką siłą, że wcale nie podoba mi się, że go pragniesz. Chciałem w twoim sercu zająć jego miejsce. Postanowiłem zrobić wszystko, żeby tak się stało. Dlatego zgodziłem się towarzyszyć ci podczas tego weekendu.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

– Chcesz mi powiedzieć, że uknułeś plan?

– Coś w tym rodzaju – odparł z charakterystycznym dla siebie szerokim uśmiechem. – Chyba mi się powiodło. – Mrugnął porozumiewawczo.

Wyrwałam się gwałtownie z jego objęć. Miło było przekomarzać się, jak to mieliśmy w zwyczaju, ale oburzyłam się na myśl, że jestem pionkiem, którym ktoś

rozgrywa swoją partię.

– Nie baw się ze mną w ten sposób – powiedziałam, ruszając przed siebie. Adam dorównał mi kroku.

– Darzę cię szczerym uczuciem, a zresztą kto jak kto, ale ty jesteś ostatnią osobą, która powinna mnie pouczać w tej kwestii.

– To było zupełnie co innego, nic dla mnie nie znaczyli – bąknęłam, mocno zażenowana tym nieporadnym tłumaczeniem. – Nie uda się nam, już zaczynamy się kłócić.

– Daj nam szansę, Coreen.

– Nie jestem pewna, czy tego chcę – wymamrotałam, powstrzymując napływające do oczu łzy. Miałam w tym wielką wprawę.

Próbował wziąć mnie za rękę, ale mu nie pozwoliłam.

– A ja nie chcę dłużej okłamywać i ciebie, i siebie – powiedział twardo. – Może wszystko poszło zbyt szybko, może powinniśmy zwolnić. – Wsunął ręce do kieszeni. – Potrzebujesz czasu, proszę bardzo. – Mówił coraz łagodniejszym tonem. – Przemyśl sobie wszystko na spokojnie. Jak zdecydujesz, czego chcesz, to wiesz, gdzie mnie szukać.

Odwrócił się i ruszył przed siebie ze spuszczoną głową.

Ja postąpiłam tak, jak każda bohaterka dramatu w mojej sytuacji. Pobiegłam w przeciwnym kierunku, nie oglądając się do tyłu.

Spotkaliśmy się w salonie o piętnastej. Zająłam miejsce w bezpiecznej odległości od Adama. Nie dostrzegłam w jego spojrzeniu cienia wyrzutu, ale nadal czułam się nieswojo.

Po chwili pojawił się detektyw. Podsumował dotychczasowe wyniki śledztwa. Wszystkie zgromadzone dowody zostały rozłożone na stole z wiśniowego drewna w samym centrum pokoju, na którym zwykle serwowano kawę.

Słuchałam jednym uchem, przywołując w pamięci drobne szczegóły. Sama byłam zaskoczona, że tyle się tego nagromadziło. Od takich oczywistości jak fakt, że Adam zawsze brał moją stronę i był przy mnie, kiedy go potrzebowałam, po wyraz pustki w jego oczach, kiedy pierwszy raz wspomniałam o Nicholasie.

Te fragmenty i urywki wspomnień doprowadziły do jedynej możliwej konkluzji. Adam mnie kochał, i to od dłuższego czasu. Nie miałam nawet pewności, czy któreś z nas zdawało sobie z tego sprawę.

Siedziałam na sofie. Próbowałam uporządkować uczucia. Przypominałam sobie, jak zawsze od razu poprawiał mi się nastrój, gdy tylko w drzwiach pojawiał się Adam. Jak wspierałam się na jego ramieniu, kiedy czterech nieznajomych w czerni wyprowadzało trumnę ze zwłokami mamy z kaplicy. Wtedy był mi tak potrzebny, że nawet nie potrafiłam tego wyrazić. Ale też nie musiałam. Zawsze wiedział, co czuję, zanim zdążyłam o tym opowiedzieć.

Spojrzałam w jego kierunku. Z charakterystycznym dla siebie uśmiechem na twarzy omawiał z Izzi jedną z mniej prawdopodobnych hipotez dotyczących morderstwa. Nie wiem, czy to z powodu tych dołeczków w policzkach, ale dostałam nagłego olśnienia. Wstrząsały mną dreszcze, a za chwilę zrobiło mi się gorąco. Po chwili poczułam się, jakby ktoś zerwał mi opaskę z oczu. Otuliło mnie przyjemne ciepło i ujrzałam światło.

Jak w transie wstałam z kanapy.

Wszyscy zamilkli i patrzyli na mnie zaskoczeni.

– Ty – zawołałam, wskazując palcem.

Adam zamilkł w pół zdania, nasze oczy się spotkały.

– Wnosisz oficjalne oskarżenie? – rozległ się głos detektywa.

Nie mogąc z siebie wydusić słowa, skinęłam głową.

Kochałam swego przyjaciela.

Kochałam Adama Conrada.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Szaleństwo

Refleksje Coreen

Numer 10. Może mi nie uwierzycie, ale czasami posuwam się za daleko.

Następne pół godziny upłynęło w kompletnym chaosie. Wszyscy przekrzykiwali się nawzajem, a później podchodzili do mnie z gratulacjami. Ja natomiast miałam wrażenie, jakbym przypatrywała się temu z boku, jakby mnie to wszystko zupełnie nie dotyczyło.

Wreszcie zrozumiałam to, co powinno dotrzeć do mnie dużo wcześniej, gdybym tylko była mniej skoncentrowana na sobie. Adam od niepamiętnych czasów był moją drugą połówką. Niestety potrzebowałam blisko dwudziestu lat, żeby się zorientować w sytuacji.

Nie świadczyło to o mnie zbyt dobrze. Nie chciałam dostrzec oczywistego faktu, bo uważałam, że tak będzie bezpieczniej, a w rzeczywistości właśnie w ten sposób wystawiłam się na największe niebezpieczeństwo.

Jos i Louisa głośno zastanawiały się, czemu zupełnie nie podejrzewały Adama. Nawet Nicholas zdawał się zaskoczony rozwiązaniem zagadki kryminalnej. No i wszyscy chcieli poznać motyw zbrodni.

Okazało się, że Harry dowiedział się, że jego ukochana siostra była owocem romansu ich matki i wuja. W ostatnich miesiącach życia lord Southerby zaczął żałować, że kiedyś wyparł się ojcostwa, i rozważył zmianę testamentu. Harry, w trosce o Constance, za wszelką cenę pragnął uniknąć skandalu. Chciał chronić siostrę, która wybierała się do Indii, gdzie miała świecić przykładem i być wzorem religijnych cnót. Żaden zakon nie wysłałby na misję córki z nieprawego łoża, której ojcem był człowiek o wątpliwej reputacji, powszechnie znany z hulawczego trybu życia. Harry doszedł zatem do wniosku, że dla jego siostry będzie lepiej, gdy lord Southerby opuści ten świat.

– Kiedy zrozumiałeś, że chodzi o ciebie? – spytałam, budząc się z letargu. Adam wzruszył lekko ramionami.

– Wiedziałem prawie od samego początku. Znalazłem informację w drugiej kopercie.

– Sądzę, że ta młoda dama miała nad nami pewną przewagę. – Uśmiechnął się znacząco Marcus.

Wiedziałam, że nawiązuje do incydentu w spiżarni, którego był świadkiem.

Cóż, Marcus bardzo się pomylił. Nie miałam żadnej przewagi w sytuacji, wobec której postawiło mnie życie.

Wymknęłam się z salonu pod pretekstem, że muszę spakować kostiumy, które nie zostały wykorzystane w przedstawieniu.

W zadumie zaczęłam składać aksamitną czerwoną suknię, kiedy rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

Uchyliłam je i oniemiałam z wrażenia. Z bijącym sercem wyczekiwałam Adama, a tymczasem moim oczom ukazał się Nicholas we własnej osobie.

– Coś się stało? – spytałam zaskoczona.

Przez chwilę stał zmieszany, ale zaraz twarz rozjaśnił mu szeroki uśmiech. Byłam pewna, że rzuciłby na kolana większość przedstawicielek płci pięknej. Ku własnemu zaskoczeniu nawet się nie zachwiałam.

– Chciałem ci podziękować za wszystko, co zrobiłaś podczas tego weekendu.

Uniosłam wysoko brwi.

– To nic takiego. Zresztą to moja praca, Izzi mi za to dobrze płaci.

– Nie, dałaś z siebie znacznie więcej – powiedział szczerze. Rozejrzał się i ściszył głos. – Izzi sprawia wrażenie silnej osoby, na której nic nie robi wrażenia, ale...

Z pewnym zdziwieniem dotarło do mnie, że szczerze kocha siostrę i martwi się o nią.

– Ma bardzo wielu przyjaciół – kontynuował – ale nazwałbym ich raczej pasożytami. Kręcą się wokół Izzi dla własnych korzyści. Kiedy cię spotkałem po raz pierwszy, byłem przekonany, że jesteś taka sama.

Z nagłym zainteresowaniem skupiłam wzrok na własnych pantoflach. Przecież miałam bardzo konkretny cel, zadając się z Izzi, przynajmniej na początku.

– Bardzo się myliłem – dodał.

Zazwyczaj nie unikałam komplementów, ale tym razem wprawiły mnie w prawdziwe zażenowanie. Żeby ukryć rumieniec wstydu, odwróciłam się i zaczęłam składać czerwoną suknię.

– Bardzo piękna – zauważył. – Może wystąpisz w tej kreacji, jeśli zgodzisz się przyjąć moje zaproszenie na kolację?

Nie wierzyłam własnym uszom. Nicholas Chatterton-Jones proponował mi randkę.

– Widziałam twój świat. Ja do niego nie pasuję.

– Wiem – odparł po chwili namysłu. – Może właśnie w tym tkwi sedno sprawy. Zwykle spotykam się z określonym typem kobiet.

– Z pięknymi, bogatymi, szczupłymi – odpowiedziałam.

– Jesteś piękna – rzucił bez namysłu.

– Dziękuję – odparłam po prostu, bez charakterystycznej dla siebie kokieterii.

Uśmiechnął się szeroko.

Wydawał się jeszcze przystojniejszy niż wówczas, gdy był poważny.

Szkoda, że nie miał dołeczków w policzkach i piwnych oczu rozświetlonych tą szczególną iskrą.

– Więc jak, kolacja przy świecach we dwoje w przyszłą sobotę?

Zapanowała niezręczna cisza. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, a musiałam przecież jakoś zareagować.

– Spóźniłem się? – spytał zrezygowany.

Przygryzłam wargi i zajęłam się pakowaniem akcesoriów. Nie byłam gotowa przyznać, co czuję do Adama, a co dopiero rozmawiać o tym z kimś innym.

Nicholas wycofał się do drzwi, pochylając w lekkim ukłonie głowę, jak prawdziwy dżentelmen.

– Zadzwoń, jeśli zmienisz zdanie...

Akurat pakowałam wyjściową marynarkę Adama. Bezwiednie przytuliłam ją do policzka. Życie bywa zaskakujące, pomyślałam.

W drodze powrotnej w niedzielę wieczorem Adam był niezwykle opanowany i uprzejmy, tyle że szalał za kierownicą jeszcze bardziej niż zazwyczaj.

Zatrzymaliśmy się przed butikiem, pomógł mi przenieść kostiumy na zaplecze, odwiózł do domu i zaniósł na górę walizkę.

– W czwartek wyjeżdżam do Malezji. Budowa hotelu zbliża się do końca.

– Kiedy wracasz?

– Za dwa tygodnie.

– Fajnie – odparłam, bo nic bardziej oryginalnego nie przychodziło mi do głowy.

Rzucił mi przeciągłe spojrzenie.

– Pojedziesz ze mną?

– Obiecałeś mnie nie poganiać, dać mi czas do namysłu – niemal warknęłam.

– Może dobrze nam zrobi, jeśli spędzimy trochę czasu razem?

Wydawał się dziwnie znużony.

Z pewnością użył logicznego argumentu. Tak logicznego, że ogarnęła mnie panika.

– Ty już się jasno określiłeś i nie potrzebujesz więcej czasu do zastanowienia

– zauważyłam wymijająco.

– Chcę iść z tobą przez życie – powiedział, potwierdzając moje przypuszczenia.

Złowroga przyszłość. A co będzie, jeśli za kilka lat będziemy mieć siebie dosyć? Jeśli zaczniemy nudzić się w swoim towarzystwie? Jeśli wzajemna fascynacja ustąpi miejsca wrogości? Przez głowę przelatywało mi tysiąc takich i podobnych myśli. Z Adamem w roli przyjaciela taki scenariusz był niemożliwy, uniknęlibyśmy tych okropnych rzeczy, które tak mnie martwiły.

– Wiesz, że jesteś częścią mojego życia. Bez względu na to, co z nami będzie dalej. – Usiłowałam jakoś go zbyć i odwlec moment, w którym powinnam udzielić

jasnej odpowiedzi.

Bez błędnie odczytał moje intencje.

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie zauważyłaś, że coś się między nami zmieniło?

Uniosłam dłonie w geście symbolizującym bezradność.

– Wczoraj byliśmy serdecznymi przyjaciółmi, a dziś wszystko odwróciło się do góry nogami. Potrzebuję czasu na podjęcie decyzji.

– To znaczy, że zawsze ostatnie słowo musi należeć do ciebie.

– Wcale nie – zaprotestowałam, przekręcając klucz w zamku i zapraszając Adama do środka. Zapowiadała się gorąca wymiana zdań, która powinna odbyć się w zaciszu mojego mieszkania. Już i tak sąsiedzi z dołu patrzyli na mnie jak na dziwolągę.

– Ależ tak, Coreen. Czujesz się bezpieczna, kiedy masz wszystko pod kontrolą, a miłość wymaga zaufania.

– Mówisz o miłości, a ja jeszcze nie wiem, co do ciebie czuję.

– Nie wiesz?

Wracaliśmy do punktu wyjścia. Oboje doskonale znaliśmy stan swoich uczuć. Ta gra stawała się nie tylko męcząca, lecz także niebezpieczna.

Nagle Adam w paru krokach pokonał dzielącą nas odległość. Objął mnie ramieniem, a jego usta były tak blisko moich, że czułam na policzku ciepło jego oddechu.

– Zaprotestuj, jeśli naprawdę tego nie chcesz – szepnął.

Przymknęłam oczy. Kiedy dotknął wargami moich ust, nie byłam w stanie poprosić, by przestał, choć właśnie tak powinnam postąpić. Ale uczyniłam coś zupełnie innego. Przytuliłam się do niego i odwzajemniłam pocałunek. Mogłabym się założyć, że każda kobieta na moim miejscu zareagowałaby identycznie.

W tej chwili z Adamem nie udawałam. Sytuacja zupełnie wymknęła mi się spod kontroli. Nie całował uwodzicielki w pantoflach na szpilce, ale mnie. Ogarnął mnie przesywający dreszcz, jak wielki przyptyw, który porywa wszystko, co napotka na drodze.

Wyślizgnęłam się z jego objęć. Adam wyciągnął rękę, ale natychmiast ją opuścił.

– Mnie możesz zaufać – powiedział z naciskiem.

Co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości. Wierzyłam w niego bardziej niż w siebie.

– Wiem, czego się obawiasz, ale miłość nie oznacza całkowitego poświęcenia. – Spojrzał na stojącą na szafce czarno-białą fotografię mamy. – Prawdziwa miłość jest inna. Nie tylko dajesz, ale też otrzymujesz.

Zdjęcie zostało zrobione, kiedy mama miała jakieś dwadzieścia lat. Stała w krótkiej sukience i wielkich słonecznych okularach zsuniętych na czoło.

Wydawała się szczęśliwa i pełna życia, gotowa na spotkanie wielkiej miłości. Ale potem spotkała swojego ojca, a ten odebrał jej całą radość życia.

Z całego serca pragnęłam mu zaufać, ale obawiałam się, że jak już się zaangażuję, to nie będę umiała się zatrzymać. Z takiej drogi nie będzie powrotu, a z doświadczenia wiedziałam, czym to grozi.

Do tej pory potrafiłam manipulować innymi, żeby osiągnąć cel. Brałam, nie dając nic w zamian. Wydawało mi się, że nigdy nie powiele błędów mamy. I to stanowiło dodatkowe źródło moich wątpliwości.

Zrezygnowana opadłam na krwistoczerwoną kanapę ze sztucznej skóry.

– Nie zasługuję na ciebie. Jestem wymagająca i samolubna. Szczerze mówiąc, nawet nie wiem, czy potrafię kochać.

Usiadł obok mnie, ujął za rękę.

– Tak zachowuje się dziewczyna w szpilkach, z twarzą ukrytą pod maską mocnego makijażu. – Dotknął delikatnie palcem moich warg. – Przy mnie nie musisz niczego udawać.

Poczułam, jak napływają mi do oczu łzy. Adam darzył mnie miłością, na jaką nie zasługiwałam.

Łkałam spazmatycznie, nie mam pojęcia, jak długo. Bez słowa gładził mnie po włosach, jakby uspokajał rozżalone dziecko.

– Zostań – poprosiłam, biorąc go za rękę. – Bardzo cię potrzebuję.

Po raz pierwszy w życiu wypowiedziałam te słowa. Zawsze do tej pory postępowałam według dewizy: umiesz liczyć, licz na siebie.

Bez chwili wahania Adam wyciągnął się obok mnie na kanapie.

Trzymając go kurczowo za rękę, zasnęłam.

Ciepło, bezpiecznie. Tak mogłabym podsumować pierwsze wrażenia po przebudzeniu wcześniej rano. Jego ręka nadal spoczywała w mojej dłoni, a na szyi czułam równy, spokojny oddech.

Po moim zaśnięciu pewnie długo przewracał się z boku na bok, bo w tej chwili był pogrążony w kamiennym śnie.

Przez dłuższą chwilę nie mogłam oderwać od niego wzroku. Ze wzruszenia znowu zaczęło zbierać mi się na płacz. Myliłam się, myśląc, że nie jestem zdolna do prawdziwej miłości. Obserwując w świetle wschodzącego słońca Adama, zrozumiałam, że jestem nieodrodną córką swojej matki.

Przed pójściem do łazienki zdjęłam z komody zdjęcie mamy i przytuliłam do piersi. Po dwóch dniach spędzonych w luksusie, z ulgą odnajdywałam się w znajomym, nieco kiczowatym otoczeniu, gdzie bajecznie kolorowe chusty pełniły rolę abażurów, a z wiszących na ścianie plakatów spoglądały gwiazdy światowego kina z minionej epoki.

Po prysznicu owinęłam się w miękki czerwony ręcznik i wróciłam do zdjęcia.

Mamo, poradź mi, co robić.

Oczywiście nie mogła mi odpowiedzieć. Nawet kiedy żyła, była praktycznie nieobecna w moim życiu.

Kocham cię, ale nie chcę żyć jak ty.

Włożyłam ulubioną czarną wąską spódnicę i różową bluzkę. Do tego zamszowe buty na wysokim obcasie, o ton ciemniejsze od bluzki. Włosy uczesałam we francuski warkocz, pozostawiając grzywkę nad linią brwi. Czarną konturówką zaznaczyłam kocie oczy i podkreśliłam usta purpurową pomadką.

Przed wyjściem przejrzałam się w lustrze sięgającym od podłogi do sufitu. Poczułam się silna.

Gotowa do wyjścia, sięgnęłam po torebkę z czarnej lakierowanej skóry. Było jeszcze zbyt wcześnie, żeby otworzyć sklep, ale zamierzałam się przejść i uporządkować myśli.

Tym razem, pod maską makijażu, bez wzruszenia i niebezpiecznych emocji spojrzałam na śpiącego Adama, posłałam mu całusa i pomachałam dłonią na pożegnanie.

Wywiesiłam tabliczkę z napisem „Zamknięte” na drzwiach Coreen’s Closet. Westchnęłam głęboko. Kusiło mnie, żeby oprzeć głowę o chłodną szybę, ale Alice bacznie mnie obserwowała.

Zaawansowana ciąża chyba jeszcze wyostrzyła jej zmysły, bo przyjaciółka od razu odgadła, że w moim życiu wydarzyło się coś ważnego.

– Jak minął weekend?

– Już ci opowiadałam.

– O kostiumach, ale nie o tym, co się działo.

Machnęłam ręką, opierając się o kontuar.

– Nic wielkiego. Nicholas Chatterton-Jones zaprosił mnie na kolację.

Zamiast wydać okrzyk zachwyty, podparła się pod boki.

– I co dalej?

– Zastanawiam się, czy przyjąć zaproszenie. – Wzruszyłam ramionami.

– No to nie mam złudzeń, że wydarzyło się coś zadziwiającego.

Alice powoli sięgnęła po torebkę. Wiedziałam jednak, że nie ruszy się, dopóki wszystkiego jej nie wyjaśnię. Moja wiotka rudowłosa współpracowniczka w takich sprawach potrafiła być nieugięta.

Utkwiłam wzrok w wyszywanej cekinami marynarce prezentowanej przez Gladys, manekin stojący w witrynie wystawowej.

– Chyba się zakochałam.

– W Nicholasie?

Nic nie odpowiedziałam. Nie byłam w stanie ani zaprzeczyć, ani potwierdzić.

Alice w milczeniu czekała na odpowiedź, kiedy ktoś zaczął uparczywie

szarpać za klamkę zamkniętych drzwi.

Adam zaglądał przez szybę. W promieniach słońca jego brązowe włosy zdawały się poprzetykane złotymi pasemkami. Ostatnim wysiłkiem woli powstrzymałam się, żeby nie podbiec do niego i nie wpaść mu w ramiona. Alice dostojnym krokiem przyszej matki poczłapała odsunąć zasuwę.

Kiedy odwróciła się do mnie na pożegnanie, wiedziałam, że w mgnieniu oka ogarnęła sytuację.

– Do zobaczenia. Bądźcie grzeczni – rzuciła na pożegnanie, uśmiechając się do mnie porozumiewawczo.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Morze łez

Refleksje Coreen

Nie mam nic więcej do powiedzenia poza tym, jak to wszystko się skończyło.

Drzwi zamknęły się za Alice, a w małej, zagraconej do niemożliwości przestrzeni Coreen's Closet zapanowała cisza. Nie wiedziałam, co powiedzieć, natomiast Adam potrafił wiele wyrazić bez słów. Uśmiechał się ciepło, a w jego piwnych oczach pojawiły się iskierki, jakich nie miał nikt inny. Wiele bym dała, żeby zatracić się w tym uśmiechu.

– Cześć.

– Cześć.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa.

– Przynieść ci coś do jedzenia?

– Nie jestem głodna. Może później. Mam trochę spraw do nadrobienia po weekendzie. – Skierowałam wzrok na uchylone drzwi prowadzące do małego biura i na zaplecze.

Natychmiast poczułam się głupio, bo chyba wziął mój wykręt za dobrą monetę.

Pocałował mnie w usta i wyszedł ze sklepu.

Zamknęłam za nim drzwi i natychmiast udałam się do łazienki poprawić szminkę. Postanowiłam znaleźć sobie coś do roboty.

Opróżniłam i przepakowałam kilka pudełek z dodatkami, zrobiłam porządek w szufladzie biurka, zmieniałam aranżację ekspozycji z biżuterią. Już miałam zająć się ozdobami do włosów, kiedy usłyszałam znajomy dźwięk szarpania za kłamkę. Od razu wiedziałam, kto przyszedł, i nie musiałam długo zgadywać, co go sprowadza. Na ladzie położył reklamówkę z logo pobliskiej restauracji. Po całym pomieszczeniu rozszedł się smakowity zapach, aż ślinka napłynęła mi do ust.

– Smażona ryba i frytki? – spytałam, krzywiąc się.

Z twarzy Adama w okamgnieniu znikł promienny uśmiech.

– Nie masz ochoty?

– Stęskniłam się za tajską kuchnią.

Spojrzał tęsknie w kierunku kontuaru.

– Specjalnie dla ciebie zamówiłem sos z octem i cebulą.

Przybrałam, wcześniej wystudiowaną, minę rozkapryszonej dziewczynki.

– Mam ochotę na coś tajskiego – skłamałam bez najmniejszego wysiłku.

– Jesteś pewna?

Skinęłam głową i wydełam zalotnie wargi.

Nie zerwał się z miejsca jak inni, których dla zabawy owijałam sobie wokół palca. Wiedziałam jednak, że robi to dla mnie, by sprawić mi przyjemność.

– Życzysz sobie tajskie, zaraz będziesz mieć. Dobrze, że restauracja jest tuż obok.

Przygryzłam wargi.

– Co się stało? – spytał, widząc moje wyraźne niezadowolenie.

– Ostatnio tu mi nie smakuje. Wolę jedzenie z Błękitnego Smoka. – Zalotnie zatrzepotałam rzęsami.

– Mam jechać na drugi koniec miasta?

– Obiecałeś, że przywieziesz. – Kokieteryjnie przechyliłam głowę.

Spojrzał na mnie przeciągle i znikł na zapleczu. Ukradkiem odwinęłam papier i wyciągnęłam kilka frytek. Szybko włożyłam do ust i wygładziłam opakowanie, żeby się nie zorientował.

Frytki były świetne. Żałowałam, że nie udało mi się podkraść więcej.

Przełknęłam szybko, słysząc kroki. Adam stał w drzwiach na zapleczu, z kluczykami samochodowymi w ręku. Z jednej strony chciałam, żeby pojechał, a z drugiej wcale mi się nie podobało, że tak szybko dał się przekonać. W głębi duszy wolałabym, żeby nie był taki przewidywalny jak moi pozostali adoratorzy.

Ku mojemu zaskoczeniu położył kluczyki na kontuarze.

– Wiesz, że przede mną nie musisz grać. Jeśli masz ochotę na curry z Błękitnego Smoka, to sama sobie przywieź.

Nie mogłam pozwolić, żeby mną tak manipulował. Złapałam kluczyki i rzuciłam w niego. Muszę przyznać, że miał refleks. Złapał je w locie.

– Nie zamierzam jeździć tym wielkim samochodem po wąskich uliczkach. Dziękuję. Załatwię sobie coś do zjedzenia w inny sposób – rzuciłam gniewnie.

– Jak chcesz – odparował.

Co było robić, złapałam torebkę, wyszłam ze sklepu i ruszyłam do pobliskiej restauracji. Po dziesięciu minutach wróciłam z porcją curry, na które nie miałam najmniejszej ochoty.

Tymczasem Adam przeniósł się na zapleczu. Na stole przed nim stało zamknięte opakowanie ryby z frytkami. Zaczęłam otwierać plastikowe pojemniki i przekładać na różowe talerzyki ryż i sos curry. Adam zrobił to samo ze swoim daniem, tyle że po wystygnięciu nie wyglądało zachęcająco.

Zjadłam parę kęsów i zaczęłam machinalnie przesuwać ryż z sosem po talerzu. Unosiłam widelec do ust tylko wtedy, kiedy Adam na mnie patrzył. Na moje nieszczęście praktycznie nie spuszczał ze mnie wzroku.

Często potrafił przy jedzeniu nie odzywać się do siebie przez dłuższy czas, a i tak rozumieliśmy się bez słów i dobrze czuliśmy się w swoim towarzystwie. Tym razem cisza ciążyła nam obojgu.

– Za trzy dni wyjeżdżam – odezwał się Adam, odkładając na talerz

nadgryziony kawałek frytki. – Może dasz się przekonać i będziesz mi towarzyszyć? Sądzę, że spodobałoby ci się tam.

Z wyrazu jego twarzy wyczytałam, że to było coś znacznie więcej niż zaproszenie, raczej sprawdzian moich uczuć.

Potrząsnęłam przecząco głową. Musiał pojechać sam, inaczej sprawy jeszcze bardziej by się skomplikowały.

– Wiesz, że nie czuję się dobrze w wilgotnym klimacie – wyjaśniłam, siląc się na bez troski uśmiech.

Nie do końca mi się udało go oszukać.

– Ile razy mam ci powtarzać, że przy mnie nie musisz udawać pewnej siebie kobiety w czerwonych szpilkach?

W tym stwierdzeniu tkwiło sedno problemu. Nawet przy Adamie musiałam być właśnie taką kobietą. Tylko w szpilkach i mocnym makijażu czułam się odporna na zranienie. Czerwona szminka i moje prawdziwe ja były bratnimi duszami. Jeśli nie akceptował mnie w takim wcieleniu, to znaczyło, że nie była nam pisana wspólna przyszłość.

Uniosłam wysoko głowę.

– Taka już jestem. Kto jak kto, ale ty powinieneś o tym wiedzieć najlepiej.

Kłamczucha. Tchórz. Te dwa słowa dzwoniły mi w uszach, kiedy przyglądałam mi się z niedowierzaniem, próbując zrozumieć.

Zabrzmiały dźwięki starej melodii. To był mój telefon komórkowy, który został gdzieś pod papierami na biurku. Ustawiłam jako dzwonek melodię z filmu z połowy lat pięćdziesiątych z Jayne Mansfield w roli głównej. Od tego czasu nie zdarzyło mi się przeoczyć żadnego połączenia, ale inni dosłownie dostawali szału, słysząc ten sygnał.

Miałam dobry pretekst, żeby uciec przed spojrzeniem Adama. Ale kiedy tylko zorientowałam się, kto dzwoni, przekierowałam połączenie na pocztę głosową.

– To Nicholas – powiedziałam jak gdyby nigdy nic, bacznie obserwując jego reakcję. – Nie jest taki odporny, jak się wydawało. Plan zadziałał. Zaprasza mnie na kolację w sobotę wieczorem.

Na Adamie wywarło to znacznie większe wrażenie, niż mogłam się spodziewać.

– Coreen – warknął.

Odłożyłam telefon i uśmiechnęłam się promiennie.

– Nie ma dla mnie faceta nie do zdobycia. Nawet Nicholas wreszcie się poddał.

– Coreen, przestań.

Próbowałam zachować niewinny wyraz twarzy, ale chyba tym razem nie do końca mi się udało. Czułam się, jakby przygniatał mnie wielki ciężar.

– Rozgryzłem cię – powiedział, odwracając głowę.

Miałam tego pełną świadomość, ale skoro już zaczęłam, nie mogłam się zatrzymać. W ten sposób chciałam oszczędzić późniejszego bólu nam obojgu.

Choć wcześniej tak sobie zaplanowałam, nie powiedziałam mu, że zamierzam przyjąć zaproszenie Nicholasa. Do takiej nikczemności nawet bezwzględna Coreen Fraser nie była zdolna.

Nie musiałam więcej udawać. Adam zrozumiał, że Nicholasa też nie traktowałam poważnie, tylko chciałam coś sobie udowodnić.

Podniósł się z miejsca, wziął moją twarz w dłonie i praktycznie zmusił, żebym spojrzała mu w oczy. W tym momencie łzy zaczęły spływać mi po policzkach. Wiedziałam, że jest moim skarbem, którego przez długi czas starałam się nie dostrzegać. Silny, lojalny, odważny. Posiadał te cechy, których mnie brakowało.

To, co do niego czułam, musiałam mieć jasno wypisane na twarzy, bo w jego oczach pojawił się promyk nadziei. Do tego nie wolno mi było dopuścić. Zacisnęłam szczęki, spojrzałam na niego obojętnie i odepchnęłam go zdecydowanym ruchem.

W jego spojrzeniu dostrzegłam pustkę, gniew, ból. Wiedziałam, że bezpowrotnie łamię mu serce, a przy okazji siebie.

Cofnął się o krok, kompletnie oszołomiony. Zrozumiałam, że tak naprawdę do tego momentu nie wyobrażał sobie innego zakończenia niż to, że będziemy żyć razem długo i szczęśliwie.

Nagle zgasł blask radości w jego oczach, który zawsze pojawiał się na mój widok.

Coś umarło w ten weekend, a właściwie ja to uśmierciłam.

Dotarło do mnie, że wieczne kontrolowanie sytuacji, do czego zawsze dążyłam, wcale nie jest takie słodkie. Dosłownie zbierało mi się na wymioty.

Adam sięgnął po kluczyki, spojrzał na mnie pustym wzrokiem, odwrócił się i wyszedł ze sklepu. I z mojego życia. Podbiegłam do drzwi i ciężko oparłam się o framugę. Przestałam się łudzić, że kiedyś mi wybaczy. Tym razem posunęłam się za daleko.

Stałam przez dłuższą chwilę w bezruchu, z trudem łapiąc powietrze. Na filmach takie momenty były pełne romantycznej melancholii, ale w naszym rozstaniu nie było nic romantycznego.

W sobotę, punktualnie o dziewiętnastej zajechała po mnie limuzyna. Przejechaliśmy na drugą stronę rzeki. Przebijając się przez zatłoczone o tej porze ulice Londynu, dotarliśmy do ekskluzywnej małej restauracji. Z najwyższymi honorami zostałam zaprowadzona do stolika, gdzie czekał już Nicholas.

Podniósł się z miejsca na powitanie i pocałował mnie w rękę. W ten sposób przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Taki już był; czarujący o nienagannyh,

trochę staroświeckich manierach.

– Wyglądasz oszalamiająco.

– Dziękuję.

Wyglądałam całkiem nieźle, chociaż nie miałam na sobie, tak jak zaplanowałam wcześniej, czerwonej aksamitnej sukni. Zdecydowałam się na małą czarną w stylu Audrey Hepburn, włosy upięłam w kok. Oczywiście nie zrezygnowałam z czerwonej szminki, ale miałam problem z wyborem pantofli. Przymierzyłam stertę szpilek o różnym fasonie, w całej palecie czerwieni, które znalazłam na dnie szafy. Uznałam, że żadne się nie nadają. W końcu wypożyczyłam ze sklepu zamszowe wieczorowe czółenka ozdobione kokardką. Byłam tak przyzwyczajona do czerwieni, że czułam się w nich trochę dziwnie. Do tego noski uwierały w mały palec.

Jak widać, zaraz po wyjeździe Adama zaczęłam realizować dawne plany.

No może nie tak zaraz. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, wróciłam do domu, pochłonięłam dwie porcje czekoladowych lodów, obejrzałam trzy czarno-białe filmy i płakałam do rana, obejmując poduszkę. I tak było przez dwie kolejne noce. Po pięciu dniach postanowiłam wziąć się w garść.

Adam miał rację. Byłam gotowa na coś więcej niż przelotny flirt, na poważny związek z kimś takim jak Nicholas. Z mężczyzną, który potrafił docenić moje poczucie humoru i pełen wigoru temperament, ale nie był w stanie odkryć, co kryje się za stylizacją na lata pięćdziesiąte. Jednym słowem, nie miał zdolności czytania w moich myślach.

Tylko...

Podczas wykwintnej kolacji przy świetle świec spoglądałam na tego księcia z bajki i dostrzegałam coraz więcej irytujących szczegółów.

Na przykład błękitne oczy, w których nie pojawiały się złote iskierki, uprzejmy uśmiech, który nie rozświetlał najbardziej pochmurnego dnia, zbyt starannie ułożone włosy. Doskonałość bywa trochę nudna, pomyślałam. Pod wpływem chwilowego impulsu miałam ochotę rozpiąć mu jeden guzik pod kołnierzykiem koszuli.

Nicholas napełnił kieliszki szampanem, o niebo lepszym niż bąbelki, które na wyjątkowe okazje kupowałam w narożnym sklepie.

– Coreen?

– Tak?

– Wszystko w porządku?

– Super. – Spojrzałam na niego, uśmiechając się jak Marilyn Monroe.

– Wydajesz się błędzić myślami gdzie indziej. No i ciągle wzdychasz. Nie podoba ci się ta restauracja?

Potrząsnęłam przecząco głową. Cudowne miejsce, tylko trochę się zamyśliłam.

Łobuzerski uśmiech Adama, kiedy podkradał mi frytki.

Jego oddech na mojej twarzy, kiedy poprawiał mi na nosie okropne okulary.

Wyraz oczu, kiedy śpiewałam ulubioną piosenkę mojej mamy.

Siłą woli wypierałam te obrazy i starałam się przywołać miłe wspomnienia z Nicholasem w roli głównej. Przecież pogratulował mi rozwiązania zagadki kryminalnej i zaprosił do tańca, ale te sceny nie przyprawiały mnie o przyspieszone bicie serca.

Nie kontrolując się, ponownie westchnęłam.

Nicholas przeniósł wzrok z przypominającego misterne dzieło sztuki lodowego deseru na mnie.

– Zjawiłem się za późno?

Miałam zamiar stanowczo zaprzeczyć, ale słowa uwięzły mi w gardle. Może to miało coś wspólnego z ilością wypitego przeze mnie wykwintnego szampana.

Muszę przyznać, że Nicholas zachowywał się do końca jak dżentelmen. Był czarujący i bawił mnie uprzejmą rozmową podczas całej kolacji. Potem odwiózł do domu. Na pożegnanie platonicznie cmoknął w policzek.

Stałam pod drzwiami, obracając w palcach klucze. Bez żalu patrzyłam na znikające w mroku nocy światła limuzyny. Czułam się jak Kopciuszek na opak, o ile wiecie, o co mi chodzi.

Na dobre rozkleiłam się zaraz po przekroczeniu progu mieszkania. Skierowałam się do kuchni. Wyjęłam z zamrażarki pudełko lodów czekoladowych, ale zamiast zjeść całość na pocieszenie, rozplakałam się. I nie były to wcale łzy spływające po policzkach, jakie w szczególnych sytuacjach przystoją damie, ale głośny szloch.

Dlaczego to takie bolesne, zastanawiałam się raz po raz, siedząc na podłodze. Przecież podjęłam jedyną słuszną decyzję, a mimo to cierpię jak potępieniec.

Nagle poczułam, jak zalewa mnie potężna fala złości. Zerwałam się na równe nogi. Pobiełam do pokoju, po drodze zrzucając niewygodne pantofle.

– To przez ciebie! – wrzasnęłam.

Złapałam ramkę z fotografią mamy i cisnęłam w przeciwległy kąt. Szkło rozprysło się na drobne kawałki, chociaż nie spadło bezpośrednio na podłogę, tylko na dywan imitujący skórę zebry.

Roześmiałam się, a potem znowu zaczęłam płakać.

Nie wiem nawet, jak długo zanosilałam się łzami, ale wreszcie doszłam trochę do siebie. Starannie pozbierałam rozbite szkło. Na szczęście drewniana ramka pozostała nienaruszona.

Wzięłam oburącz fotografię i spojrzałam mamie w oczy. Najpierw wydawały mi się radosne, ale po dłuższej chwili dostrzegłam w nich melancholię. Miałam wrażenie, że chciała mi coś powiedzieć.

Nie bądź taka głupia jak ja. Nie powielaj moich błędów.
– Próbowałam, ale nie potrafię – rozmawiałam ze zdjęciem.
Nie mogłam już dłużej się okłamywać. Kochałam Adama.

Każdy, kto mnie znał, dobrze wiedział, że niczego nie robiłam połowicznie. Zawsze szłam na całość. A ja przeczuwałam, że jak zacznę dawać komuś siebie, to nie będę w stanie przestać. Nie zatrzymam się, dopóki nie stanę się swoim własnym cieniem, dokładnie tak jak mama. I wtedy już nie będę kobietą, w której kiedyś zakochał się Adam. To będzie początek końca.

Nie, Adam nie zachowałby się jak mój ojciec. Był na to zbyt szlachetny. Ale zasługiwał przecież na znacznie więcej, a nie na życie z kobietą, która podświadomie spodziewa się, że rano znajdzie na komodzie kartkę ze zdawkowymi słowami pożegnania.

Nie zniosłabym, gdyby mnie rzucił. Więc może lepiej, że to ja wybrałam moment, w którym powinniśmy się rozstać na zawsze.

Odważyłam się znowu spojrzeć na fotografię. Mama uśmiechała się do mnie, a może to był tylko wytwór mojej wyobraźni. Zaczęłam z nią w duchu rozmawiać.

Dlaczego nie trafiłaś na kogoś, kto otoczyłby cię miłością? Teraz byłabyś przy mnie...

Nagle doznałam olśnienia. Choć długo nie chciałam się do tego przyznać, byłam dokładnie taka jak mama. Wreszcie zrozumiałam, co to znaczy i jak mogło rzutować na moją przyszłość.

Może czerwone zamszowe baleriny nie były najlepszym wyborem. Przecież przewoźnik radził zabrać wygodne buty, ale baleriny to był mój typ wygodnego obuwia. Słyszałam, że Langwaki to modna miejscowość turystyczna, więc spodziewałam się kosmopolitycznej atmosfery. Tylko do tej pory nie miałam pojęcia, jak dużo wysp wchodziło w skład archipelagu. Niektóre mogły się poszczycić rozbudowaną bazą wypoczynkową, ale ja płynęłam w kierunku takiej, gdzie podobno znajdował się tylko jeden hotel.

Na szczęście w podmuchach morskiej bryzy nie rozpadła mi się fryzura.

Wkrótce jednak zapomniałam o loczkach, pochłonięta olśniewającym widokiem – górzyste wysepki, całkowicie skryte pod czapami deszczowego lasu, odbijały się w turkusowych falach.

Opłynęliśmy kolejną grupę wysp i zmierzaliśmy wprost do innej, a ja aż zaniemówiłam z zachwytu.

To nie był zwykły hotel. Ten wyglądał jak ilustracja do egzotycznej bajki.

Jak okiem sięgnąć widać było drewniane domki na szczudłach zanurzonych w wodzie. Niektóre z nich piętrowe, a wszystkie zwieńczone spiczastymi czerwonymi dachami.

Łódź dobiła do brzegu, skąd prowadziły drewniane schody do recepcji. Elegancko ubrani pasażerowie wysiedli na brzeg.

Już na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się luksusowe. Nie miałam pewności, czy dotarłam we właściwe miejsce, ale przewoźnik rozwiął moje wątpliwości.

– Szukam Adama Conrada – zwróciłam się do młodej recepcjonistki w czerwonej marynarce.

– Zaraz ktoś zaprowadzi panią do pana Conrada – poinformowała z uśmiechem.

Klasnęła w dłonie. Natychmiast, jakby znikąd, pojawił się chłopak w identycznym uniformie i poprosił, żebym ruszyła za nim. W drodze wysłuchałam informacji o hotelu, historii, faunie i florze wyspy. Minęliśmy labirynt przejść łączących poszczególne domki. Stanęliśmy na suchym lądzie, który wznosił się nad białą piaszczystą plażą. Z drugiej strony widać było zieloną linię dżungli i część ośrodka zamkniętą jeszcze dla turystów.

Zbliżaliśmy się do rozwieszonego nad niewielką przepaścią drewnianego mostku. Podczas gdy zabudowa po tej stronie utrzymana była w stylu tradycyjnego dla tej części Malezji budownictwa, ośrodek na drugim brzegu zadziwiał opływową, organiczną formą. Był nowoczesny, a jednocześnie piękny.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza i ostrożnie stanęłam na mostku. Ani drgnął, więc przyspieszyłam kroku.

Kiedy już bezpiecznie znalazłam się po drugiej stronie, przekonałam się, że opływowa konstrukcja to recepcja, z której prowadziły dróżki rozbiegające się w różnych kierunkach. Tyle że zamiast uprzejmej recepcjonistki ujrzałam mężczyznę w roboczym kombinezonie, który skierował mnie w prawo.

Ze wzrokiem utkwionym w ziemię, powoli wspinałam się do góry. Kiedy wreszcie spojrzałam przed siebie, miałam wrażenie, że śnię. W dole, ze skały, wypływał maleńki strumyk. Dalej ujrzałam niewielki wodospad ocieniony paprociami. Nie zdążyłam dobrze ochłonąć ze zdumienia, a już w zachwyt wprowadził mnie widok całej wioski składającej się wyłącznie z domków rozwieszonych na drzewach. Różnej wielkości, ale o zbliżonych, miłych dla oka organicznych kształtach. Wszystkie połączone gęstą siecią mostów linowych. Całość została zaprojektowana z pominięciem zasad symetrii, a jednak prezentowała się harmonijnie.

Zmierzałam w kierunku domku, z którego dobiegał odgłos rozmowy. U szczytu spiralnych schodów majaczyła sylwetka mężczyzny.

– Dzień dobry! – zawołałam.

O mało nie przewrócił się z wrażenia. Widocznie nie codziennie spotykał w dżungli kobiety w białych letnich sukienkach.

– Szukam Adama Conrada.

Odpowiedział coś łamaną angielszczyzną i wskazał do góry.

Pokój prezentował się oszałamiająco. Chociaż ta część ośrodka nie została

jeszcze oddana do użytku, widać było gołym okiem, że ten moment nastąpi lada chwila. Pokój był całkowicie umeblowany z centralnie umieszczonym wielkim łóżem ze śnieżnobiałą pościelą. Dla kontrastu rama wykonana była z ciemnego drewna i trzciny. Do tego białe ściany. W innych warunkach taki wystrój wnętrza prezentowałby się zbyt surowo. Tutaj, w złocistych promieniach słońca, przebijających się przez zielenie dżungli, wydawał się wprost idealny.

Byłam w balerinach, więc poruszałam się praktycznie bezszelestnie.

– Adam – zawołałam półgłosem, ogarnięta nagłą tremą. Nie miałam pewności, jak zareaguje na niespodziewaną wizytę.

Przez chwilę jedynym dźwiękiem był łagodny szum poruszanych wiatrem białych zasłon w oknach. Następnie usłyszałam jakiś trzask z zewnątrz. Dopiero wtedy zorientowałam się, że przedłużeniem pokoju był balkon wychodzący na dżunglę.

Adam stał na tarasie i patrzył przed siebie.

Przechodząc przez pokój, głośno tupnęłam, dając do zrozumienia, że ktoś nadchodzi.

Obrócił się gwałtownie i zastygł z otwartymi ustami.

Wydawało mi się, że nic nie jest w stanie poruszyć Adama, a jednak się myliłam.

Wyglądał inaczej, niż go zapamiętałam. Zmarszczki wokół oczu były jakby głębiej wyrzeźbione, oczy podkrążone i pozbawione blasku.

To przeze mnie, pomyślałam z poczuciem winy.

Do tej pory wydawało mi się, że rozumiałam, jak bardzo go zraniłam, ale teraz dotarło do mnie, że było znacznie gorzej, niż podejrzewałam.

– Cześć.

– Po co przyjechałaś? – spytał beznamiętnym tonem.

– Stęskniłam się za starym przyjacielem.

Przymknął powieki i się przygarbił.

– Nie jestem pewien, czy możemy być przyjaciółmi.

Powinłam była od razu powiedzieć to, co miałam do powiedzenia, bo moje zachowanie tylko go zdenerwowało, ale ograniczał mnie paniczny lęk. Bałam się, że tym razem posunęłam się za daleko w kierunku, z którego nie ma powrotu. Nie zasłużyłam na wybaczenie, ale chciałam przynajmniej spróbować.

– Wiem. Kiedy wyjechałaś, miałam czas, żeby wszystko dokładnie przemyśleć.

Zrobiłam parę kroków do przodu, tak że teraz stałam obok niego na balkonie, ale wszystkie przygotowane wcześniej słowa uleciały mi z głowy. Przez chwilę podziwiałam rozciągający się u dołu widok na turkusowe morze opasane białą plażą na tle soczystej zieleni dżungli.

– W życiu nie widziałam nic piękniejszego.

– Mówiłem, że ci się tu spodoba – odparł, patrząc w przestrzeń.

Jego ton nie napawał optymizmem, ale przynajmniej się odezwał. Wszystko było lepsze od milczenia i obojętności.

– Czego ode mnie oczekujesz? – spytał.

Przełknęłam ślinę. Nadszedł czas, by zakończyć grę, którą prowadziłam zbyt długo.

– Przepraszam – powiedziałam. Coś musiało być ze mną ostatnio nie w porządku, bo łzy napłynęły mi do oczu. – Przepraszam za wszystko, co powiedziałam, co zrobiłam i co zamierzałam zrobić. – Zaczepnęłam głęboko powietrza dla dodania sobie odwagi. – Ale przyjechałam, żeby ci powiedzieć, że byłeś w błędzie. Miłość nie polega na braniu i dawaniu.

Już miał zaprzeczyć, ale położyłam mu palec na ustach, patrząc głęboko w oczy. Poczułam, jak sztywnieją mu mięśnie twarzy. Jednak nie miałam wyjścia, musiałam powiedzieć to, co miałam do powiedzenia.

– Jestem taka jak mama. Jak kocham, to do zatracenia. Tyle że ona dokonała niewłaściwego wyboru, a ja znalazłam człowieka, który otoczy mnie miłością. Kocham cię nad życie.

W jednej krótkiej chwili obrócił się i znalazłam się w bezpiecznych ramionach.

– I jeszcze coś – dodałam. – Moje serce należy do ciebie. Czy mogę mieć nadzieję, że kiedyś...

– Moje zawsze było i będzie bić dla ciebie, Coreen. – Przypieczętował te słowa namiętym pocałunkiem.

Dalsza wymiana zdań była zbędna. Staliśmy obok siebie w milczeniu, a nasze oczy porozumiewały się językiem miłości.

Dotknął palcem moich warg.

– Widzę, że nie zrezygnowałaś z czerwonej szminki.

Wydęłam zalotnie usta i zatrzepotałam rzęsami.

– Nie. Ale możesz ją zetrzeć pocałunkami, kiedy tylko zapragniesz.